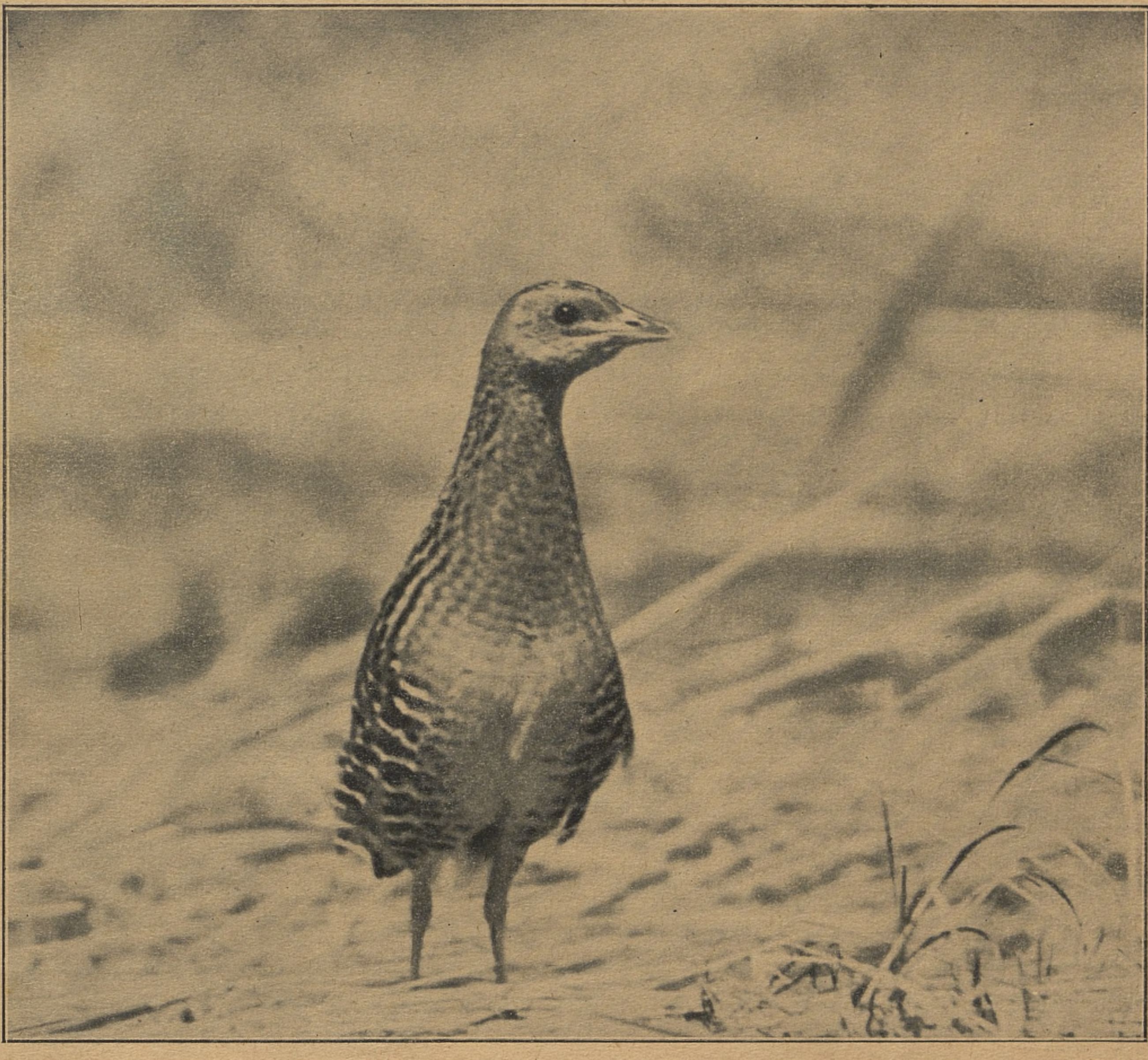
ŁOWIEC POLSKI



Derkacz. Z serji nagrodzonej I nagrodą na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego" w r. 1938 Fot. W. Puchalski

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 13 (933) 1 LIPCA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



W susach wśród kniei. Fot. J. hr. Żółtowski

X Konkurs Fotograficzny „Łowca Polskiego"

Dorocznym zwyczajem ogłaszamy konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie z 1939 r.

Tematem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej w warunkach naturalnych, sceny myśliwskie, wreszcie zdjęcia krajobrazowe z terenów łowieckich.

Ponieważ zdjęcia przeznaczone są do reprodukcji w „Łowcu Polskim", przeto miarą wartości nadesłanej fotografji będzie, obok tematu i strony artystycznej zdjęcia, jej przydatność techniczna do reprodukcji. W tym celu format zdjęcia (odbitka z kliszy) nie może być mniejszy, niż 6 × 9, względnie 6 × 6 cm. Z klisz mniejszych rozmiarów, jak „Leica" i inne, muszą być nadsyłane powiększenia. Odbitka powinna być wykonana na papierze bromo-srebrnym w kolorze czarnym. Zdjęcie musi być ostre i wyraźne.

Na konkurs mogą być nadsyłane bądź pojedyncze fotografje, bądź cykle zdjęć (najmniej 3) tegoż autora. Na każdem zdjęciu powinien być podany tytuł obrazu, marka aparatu oraz godło autora. Imię, nazwisko i adres autora należy dołączyć w osobnej zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem, podanem na fotografjach. Każdy autor może nadsyłać fotografje tylko pod jednem godłem.

Wyróżniające się zdjęcia będą nagradzane bądź nagrodami pieniężnemi (7 nagród w kwotach: 150 zł., 100 zł., 75 zł., i 5 po 50 zł.), bądź żetonami (złotemi, srebrnemi i bronzowemi). Zdobywcy nagród pieniężnych, niezależnie od nich, otrzymają również żetony i dyplomy na nie. Nagrody pieniężne będą przyznawane zasadniczo za serje (szereg zdjęć), żetony — również za zdjęcia pojedyncze.

Jako dodatkowa nagroda za całokształt pracy fotograficznej, autorom nagrodzonych seryj przyznana będzie całoroczna prenumerata „Łowca Polskiego". Przy większej ilości zasługujących na wyróżnienie fotografij seryjnych, mogą być przyznane dalsze 3 nagrody w postaci całorocznej prenumeraty „Łowca Polskiego".

Skład Sądu Konkursowego stanowić będą pp. K. Czampe, W. Garczyński, J. Gieysztor i W. Zabiełło, względnie zastępcy: pp. J. Dylewski i J. Kobylański.

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji wszystkich nadesłanych na Konkurs zdjęć fotograficznych oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich do użytku czasopism krajowych lub zagranicznych w celach propagandowych.

Termin końcowy nadsyłania fotografij na Konkurs ustala się na dzień 31 października r. b.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

NIE TĘDY DROGA

W artykule zatytułowanym „Śrutem czy papierem?", drukowanym w „Łowcu Polskim" z dnia 15 stycznia r. b., Redaktor W. Garczyński podał do wiadomości świata łowieckiego treść memorjału, przesłanego do Polskiego Związku Łowieckiego przez kilka organizacyj, zajmujących się, względnie interesujących się, sprawą ochrony ptaków. Powtarzać treści tego memorjału nie będę, przypomnę tylko, że zawiera on zarzuty pod adresem świata łowieckiego. Zarzuty bardzo ciężkie: „myśliwi przez stałe wystrzeliwanie ptaków przyczyniają się bardzo wybitnie do ginięcia fauny ornitologicznej naszego kraju".



Na jeziorze

Memorjał zawiera wniosek ustalenia listy ptaków łownych w ilości około 60 gatunków. W podanym spisie widzimy mianowicie 23 gatunki, pozatem zaś obejmuje on wszystkie kaczki („*Anas* sp. — wszystkie gatunki") i gęsi („*Anser* sp. — wszystkie gatunki"). W spisie tym nie wymieniono takich ptaków, jak pelikany, czaple, kormorany, dropie, kuliki, siewki i t. d. Natomiast znalazły się w nim — proszę o zachowanie powagi — wróble...

Zauważyć jednak muszę, że spokój zachować, czytając ten memorjał, dość trudno. Tak paradoksalnym jest stosunek dużej wartości ideowej podpisanych pod memorjałem stowarzyszeń do znajomości naszego łowiectwa z jednej strony i do naszej fauny ornitologicznej — z drugiej.

Na temat poruszony w memorjale, już po wydrukowaniu artykułu Redaktora Garczyńskiego, zabrał głos w „Łowcu Polskim" (Nr. 11, z dnia 1.IV. r. b.) p. Alfred Sander. Obecnie czynię to i ja. Czynię to chętnie i jako stary myśliwy i jako ornitolog, zajmujący się badaniem fauny krajowej od lat przeszło trzydziestu.

Moje uczuciowe, pozytywne nastawienie do zagadnień ochrony przyrody jest napewno nie mniejsze niż autorów memorjału, to też przykro mi bardzo, że nietylko nie mogę się nań zgodzić, ale nawet muszę go krytykować. Nie wątpię, że zarzutów moich nie potrzebowałbym wysuwać, gdyby autorowie memorjału zapoznali się choć powierzchownie z zagadnieniem, do którego podchodzą z dużym sentymentem, ale, niestety, bez przeprowadzenia odpowiednich studjów.

A wszak nawet w prasie łowieckiej wypowiadano poglądy, które w pewnym stopniu pokrywają się z poglądami memorjału. Wymienić tu mogę np. mój artykuł „Uwagi o konieczności przeprowadzenia pewnych zmian zasadniczych w prawie łowieckiem", drukowany w „Łowcu" (Lwów 1933). Ze względu na to, że artykuł ten był drukowany tak dawno, pozwolę sobie tu pewne jego ustępy przytoczyć, te mianowicie, które poruszają sprawę ustalenia spisu ptaków łownych.

Sprawa to trudna. Można ją przesądzić albo przez danie myśliwym dużej swobody w strzelaniu, albo przez ograniczenie gatunków ptaków łownych do minimum. Tą drugą drogą poszli autorzy memorjału i droga ta doprowadziła ich aż do skreślenia ze spisu ptaków łownych takich gatunków, jak dropie, kuliki i siewki. Ostatecznie mógłbym się na to zgodzić jako myśliwy, nie mogę się jednak zgodzić jako badacz ornitofauny krajowej.

Według mego projektu spis ptaków łownych wygląda jak następuje:

1. Nury *(Colymbidae)*
2. Perkozy *(Podicipedidae)*
3. Kormorany *(Phalacrocoracidae)*
4. Pelikany *(Pelecanidae)*
5. Czaple *(Ardeidae)*
6. Ibisy *(Plegadidae)*
7. Warzęchy *(Plataleidae)*
8. Czerwonaki *(Phoenocopteridae)*
9. Kaczki, tracze, gęsi, łabędzie *(Anatidae)*
10. Ptaki drapieżne dzienne *(Falconiformes)*
11. Żórawie *(Gruidae)*
12. Chróściele *(Rallidae)*
13. Dropie *(Otididae)*
14. Kuliki *(Scolopacidae)*
15. Siewki *(Charadriidae)*
16. Kulony *(Oedicnemidae)*
17. Gołębie *(Columbidae)*
18. Kwiczoł *(Turdus pilaris)*
19. Paszkot *(Turdus viscivorus)*
20. Jemiołuszka *(Bombycilla garrulus)*
21. Krukowate *(Corvidae)*.

Pierwotnie, w wymienionym powyżej artykule, proponowałem, by z rodziny *Corvidae* uznać za łowne tylko trzy gatunki: kruka, wronę i srokę. Obecnie uważam jednak, że dużo prostsze, a nie zagrażające postulatom ochrony przyrody, jest pozwolenie strzelania myśliwym wszystkich przedstawicieli rodziny *Corvidae*.

Artykuł 1-y obecnie obowiązującego prawa łowieckiego pozwala polować na „wszelkie ptactwo błotne". Nastręcza to wątpliwości. Biorąc bowiem to brzmienie dosłownie, możemy uznać za ptaki łowne rozmaite drobne gatunki z rzędu wróblowatych, jak to trzciniaki, łozówki, rokitniczki, potrzosy (rodzaje *Acrocephalus*, *Calamodus*, *Locustella*, *Panurus*, *Cynchramus* i t. p.). A jednak artykuł ten powinien być

tak zredagowany, aby w każdym poszczególnym razie, jasno i dokładnie, bez najmniejszych wątpliwości, można było orzec, czy myśliwy miał prawo zabić dane zwierzę. W tym celu koniecznem jest wprowadzenie do ustawy nomenklatury naukowej (nazw łacińskich), one bowiem jedynie pozwolą na uniknięcie nieporozumień. Niewątpliwie z tego założenia wychodzili i autorzy memorjału. Niestety, rozwiązali zagadnienie źle. Zaliczają oni do ptaków łownych „*Anas* sp. (wszystkie gatunki), *Anser* sp. (wszystkie gatunki)". Tu wychodzi w sposób uderzający brak przygotowania naukowego. Autorom chodziło, jak się można domyślać, o pozwolenie myśliwym strzelania wszystkich gatunków kaczek i gęsi, a przy takiem określeniu można wykomentować coś wręcz przeciwnego, a w każdym razie powstaje dużo niejasność, której w ustawodawstwie być nie powinno. Biorę więc do ręki „Faunę Słodkowodną Polski", a mianowicie zeszyt 3 (Ptaki), opracowany przez Mgr. A. Dunajewskiego. Stwierdzam, że do rodzaju *Anas* należy w faunie krajowej jeden tylko gatunek — *Anas platyrhynchos* (krzyżówka). Do rodzaju *Anser* zalicza mgr. Dunajewski 6 gatunków, podczas gdy krajowych gęsi znamy 9 gatunków. Nawiasem dodam, że według moich poglądów do rodzaju *Anser* należą tylko 3 gatunki (patrz J. Domaniewski „Przegląd krajowych ptaków łownych", Kalendarz Myśliwski na 1932 rok).

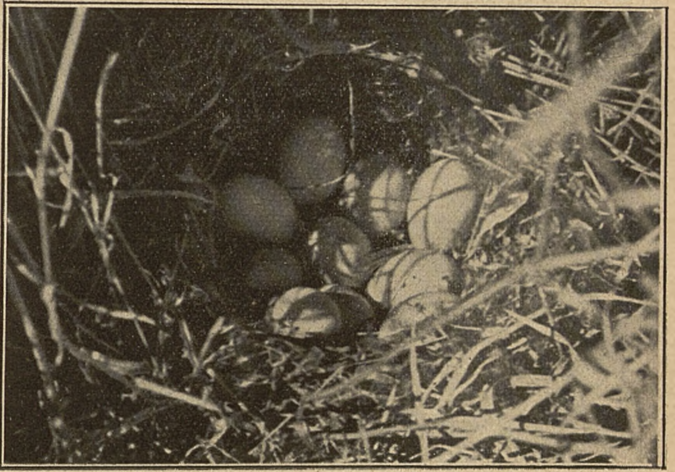
Nie, tak nie można. Jeśli się chce używać nomenklatury naukowej, to trzeba się z nią najpierw zapoznać, a przedewszystkiem zrozumieć ją.

Wracam do proponowanego przez siebie spisu Wymieniam w nim gatunkowo tylko 3 ptaki: jemiołuszkę, kwiczoła i paszkota. Pierwszą dlatego, że z całej rodziny w Europie jest ona jedynym przedstawicielem, zaś dwa następne dlatego, że należą one do rodziny *Turdidae*, której gatunki inne w żadnym razie do ptaków łownych zaliczone być nie mogą. Wszystkie pozostałe ptaki łowne wymieniam rodzinami *(Colymbidae, Podicipedidae* i t. d.) i rzędami *(Falconiformes, Galliformes)*.

O ile chodzi o ssaki łowne, to można je w ustawie wymienić wszystkie gatunkowo. Jest ich stosunkowo bardzo mało i wszystkie są dobrze znane. To znaczy niema wśród nich takich, co do występowania których w faunie Polski mogłyby istnieć jakiekolwiek wątpliwości. Nie istnieją też wątpliwości, które ich gatunki należy uważać za łowne.

Inaczej jest z ptakami. Tych jest przedewszystkiem bez porównania więcej. Niezależnie od tego, dokładne ustalenie tych gatunków, które strzelać można, natrafia na trudności. Z jednej strony bowiem trudno jest przewidzieć jakie gatunki, dotychczas nienotowane, mogą zalecieć do Polski, z drugiej zaś śmiesznem byłoby wciąganie na listę ptaków łownych takich gatunków, które tutaj nie były nigdy notowane. Z tego to powodu trzeba poprzestać na wymienieniu rodzin i rzędów. W żadnym razie nie można poprzestać na wymienianiu rodzajów (np. *Anas* lub *Anser)*, jak to czynią autorzy omawianego memorjału. Prowadzi to wprost do nieporozumień, bowiem poglądy różnych ornitologów na przynależność rodzajową różnych gatunków ptaków są odmienne.

Zdawałoby się, że przy dzisiejszych, tak powszechnie panujących prądach ochrony przyrody należałoby liczbę ptaków łownych ograniczyć do minimum i idąc drogą najbardziej bezwzględną, oznaczyć dokładnie te gatunki, które myśliwy może strzelać. Sprawa napozór jest prosta. Taką się wydawała autorom memorjału. Taką może się wydawać każdemu, kto nie orjentuje się w naszej faunie ornitologicznej i w sprawach polowania. Przy bliższem zapoznaniu się z nią okazuje się ona jednak tak trudną do rozwiązania, że w praktyce zastosować się nie da. Czyż warto zresztą stawiać trudne do obserwowania ograniczenia, które do niczego nie prowadzą? Czy warto zabraniać strzelać takie gatunki ptaków, których strzelanie nie może mieć żadnego wpływu na ich występowanie u nas czy też w Europie wogóle, a przez to samo działać na niekorzyść nauki?



Gniazdo krzyżówki. Fot. J. Chomętowski

Oczywiście z punktu widzenia łowieckiego możnaby się ostatecznie zgodzić na wykreślenie z listy ptaków łownych niektórych przedstawicieli takich rodzin, jak *Colymbidae* (nury), *Podicipedidae* (perkozy), *Phalacrocoracidae* (kormorany), *Pelecanidae* (pelikany), a nawet *Ardeidae* (czaple). Gatunki te bowiem w łowiectwie nie grają żadnej roli. Co zrobić jednak z rodziną *Anatidae?* Obejmuje ona około 40 takich gatunków, których przynależność do fauny krajowej została stwierdzona, a liczba ta wzrośnie niewątpliwie, albowiem prędzej czy później zostaną zabite pewne gatunki przelotne.

Z tych, powiedzmy, 40 gatunków można naturalnie wybrać tylko te, które pospolicie gnieżdżą się u nas. Jako uzasadnienie, należałoby w takim razie przytoczyć argument, że strzelane powinny być te gatunki, nad któremi roztaczana jest odpowiednia opieka, czyli krótko mówiąc te, które są przez myśliwych hodowane.

Możnaby więc oznaczyć następujące:

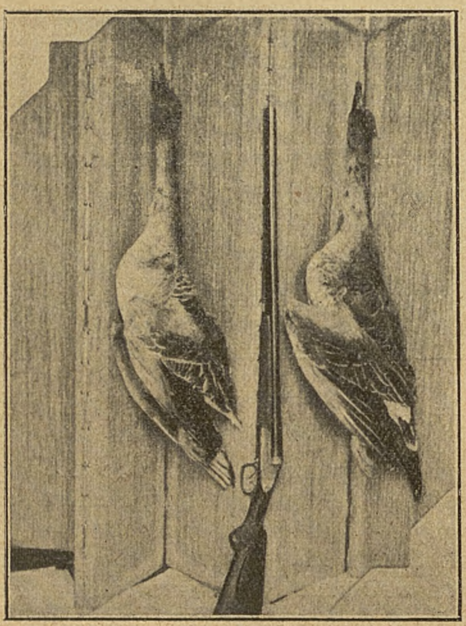
Podgorzałka *(Nyroca nyroca)*
Głowienka *(Aythya ferina)*
Krzyżówka *(Anas platyrhynchos)*
Cyranka *(Querquedula querquedula)*
Cyraneczka *(Nettion crecca)*
Gęgawa *(Anser anser)*

Tu nawiasem wtrącić muszę, że jednak właśnie gęgawa, którą autorzy memorjału wciągnęli na listę

ptaków łownych, jest ptakiem, występującym u nas w bardzo nielicznych stanowiskach, ptakiem wyraźnie ginącym i wymagającym raczej specjalnej ochrony.

To byłby jeszcze punkt wyjścia. Przynajmniej teoretyczny. Nie można jednak podchodzić do tego zagadnienia od strony kulinarnej, jak to słusznie zaznaczył w swym artykule dr. Sander. We współczesnem łowiectwie nie jest to sprawa tak decydująca, jak to sądzą laicy, a i z punktu widzenia ochrony przyrody nie bardzo się na to zgodzić można.

Nie o to mi jednak narazie chodzi. Chodzi o to, że gdyby rozróżnianie tych 6 gatunków od innych pokrewnych nie nastręczało trudności, sprawa byłaby prosta. Niestety, rozróżnianie większości gatunków kaczek i gęsi jednym rzutem oka, co jest potrzebne przy strzelaniu do podrywającego się ptaka, jest nietylko dla myśliwych, ale nawet dla wytrawnych ornitologów, rzeczą trudną, a o ile chodzi o niektóre gatunki, wręcz niemożliwą.



Jesienny dublet do gęsi. Fot. dr M. Obniski

Nie można więc z całej rodziny *Anatidae* wybrać tylko tych 6 gatunków, względnie po odrzuceniu gęgawy, 5 gatunków i uznać je za ptaki łowne, a zabronić strzelać pozostałe. Doprowadziłoby to bowiem do zupełnego uniemożliwienia polowania na kaczki i gęsi, albo też przeciwnie, do stałego, konsekwentnego negliżowania przez myśliwych takiego artykułu ustawy.

Koniecznem więc jest uznanie wszystkich przedstawicieli rodziny *Anatidae* za ptaki łowne. To samo dotyczy takich rodzin, jak *Rallidae*, *Charadriidae* i *Scolopacidae*. Z rodzin tych, w szczególności zaś z rodzin *Charadriidae* i *Scolopacidae* (podobnie zresztą jak z rodziny *Ardeidae)* niektóre gatunki zalatują do nas bardzo rzadko. Skoro więc te rzadkie, niekiedy tylko wypadkowo zalatujące, gatunki mogą być strzelane, to nie widzę racji, dla której należałoby ochraniać równie rzadko zalatujących przedstawicieli takich rodzin, jak *Pelecanidae*, *Plataleidae*, *Plegadidae* i t. p. Sporadyczne, wypadające niekiedy raz na kilka, a nawet kilkadziesiąt lat, zabijanie tych ptaków u nas nie może mieć żadnego wpływu na ich utrzymanie się we właściwej krainie rozmieszczenia. Podkreślił to zresztą już Redaktor Garczyński w swej krytyce omawianego memorjału, jak i duże znaczenie, które ma dla nauki strzelanie tych ptaków.

Istotnie możność strzelania tych ptaków przez myśliwych ma ogromne znaczenie dla poznania fauny ornitologicznej Polski, gdyż w większości wypadków wiadomość o niezwykłej zdobyczy dochodzi do wiadomości ornitologów.

Wogóle zbyt wielkie ograniczenie w strzelaniu ptaków z rzędów i rodzin wyżej wymienionych nie może mieć wpływu na ich utrzymanie się, a w badaniach nad ornifauną krajową odbiłoby się fatalnie. Dotyczy to, między innemi, badań nad wędrówkami ptaków. Metoda obrączkowania, która daje tak znakomite wyniki, przy zbyt wielkich ograniczeniach w strzelaniu ptaków, nie prowadziłaby do celu.

W pomyśle ograniczenia ptaków łownych do tak małej ilości gatunków autorzy memorjału wychodzili z założenia, że myśliwi strzelają z reguły do wszystkich ptaków i że to właśnie jest przyczyną ich ginięcia. Że pogląd ten nie wytrzymuje krytyki, wykazał jasno Redaktor Garczyński. Nieznajomość zaś ornitofauny krajowej doprowadziła autorów memorjału do biadania nad ginięciem u nas takich gatunków, które w bieżącym okresie historji ziemi nigdy się u nas nie gnieździły, z drugiej zaś do zbyt łatwego wprowadzenia na listę ptaków łownych takich gatunków, na które polowanie, jeśli ma być dozwolone, to już z wyraźnemi ograniczeniami.

A z najwyższem już zdumieniem czytam tę część projektu, w której wnioskodawcy wymieniają „ptaki łowne niechronione", to jest takie, które można strzelać bez ograniczeń przez cały rok. Mniejsza już o to jakie to są gatunki. Chodzi o istotę rzeczy. Więc jakto, instytucje, których celem i zadaniem jest ochrona zwierząt, proponują zabijanie rodziców bezradnych piskląt i skazują je tem samem na straszną śmierć głodową?

Protestuję przeciwko temu, jako myśliwy, jako przyrodnik i jako człowiek przedewszystkiem. To jest nieludzkie.

I jako myśliwy i jako przyrodnik, nie mogę się zgodzić na zaliczenie do ptaków łownych... wróbli. Tu nie wiem czem kierowali się autorzy memorjału? Zapewne doprowadziło ich do tego oparcie kwestji o kuchnię. Dlaczegóż tedy jednak nie zaliczyli oni do ptaków łownych... słowików? Wszak ponoć w starożytności na wystawnych ucztach podawano pasztet z języków słowiczych.

Streszczając się, twierdzę, że w tej postaci, w jakiej został przesłany do Polskiego Związku Łowieckiego, omawiany projekt jest nie do przyjęcia ani przez myśliwych, ani też przez ornitologów.

Można jednak akceptować niektóre punkty. Wniosek o zakazie wypłacania strzałowego, z punktu widzenia nauki i ochrony przyrody, jest najzupełniej uzasadniony i słuszny. Ptaki drapieżne są u nas istotnie strzelane w nadmiernej ilości, a niektóre ich gatunki są już wyraźnie na wyginięciu.

Idea autorów memorjału była niewątpliwie dobra i piękna, lecz jej skonkretyzowanie wypadło fatal-

nie. Tak już jest, że jeśli się walczy z urojonym przeciwnikiem, to uderzenia trafiają w próżnię. Bo czyż myśliwi są przeciwnikami ideologji ochrony przyrody? Czyż nie są jej najzagorzalszymi bojownikami? Że zaś walczą na tem polu od wieków, więc mają i doświadczenie i znajomość rzeczy. To też wyniki ich pracy są konkretne. Jeśli cały szereg gatunków zwierząt łownych, takich jak żubr, jeleń, bóbr i t. d. przetrwał u nas aż do ostatnich czasów, to bezwzględnie jest to zasługą łowiectwa.

To są osiągnięcia, to są konkretne rezultaty, z których świat łowiecki może być dumny. Podobnych osiągnięć należy życzyć i tym instytucjom, które walczą o ochronę ptaków.

By te rezultaty osiągnąć, trzeba jednak rozwinąć racjonalną walkę na zupełnie innym froncie. Trzeba przedewszystkiem szerzyć ideę ochrony przyrody wśród ludu wiejskiego, trzeba oduczyć dzieci wiejskie wybierania i niszczenia gniazd ptasich. Trzeba wystąpić do ostrej, bardzo ostrej walki z plagą psów i kotów — wyjednać odpowiednie ustawodawstwo.

To są rady starego myśliwego i przyrodnika, który siwiał nietylko za biurkiem, ale również w polu i kniei.

JANUSZ DOMANIEWSKI

NASZE POTRZEBY I TĘSKNOTY

(Po zwiedzeniu osiedla Zalesia Górnego pod Warszawą)

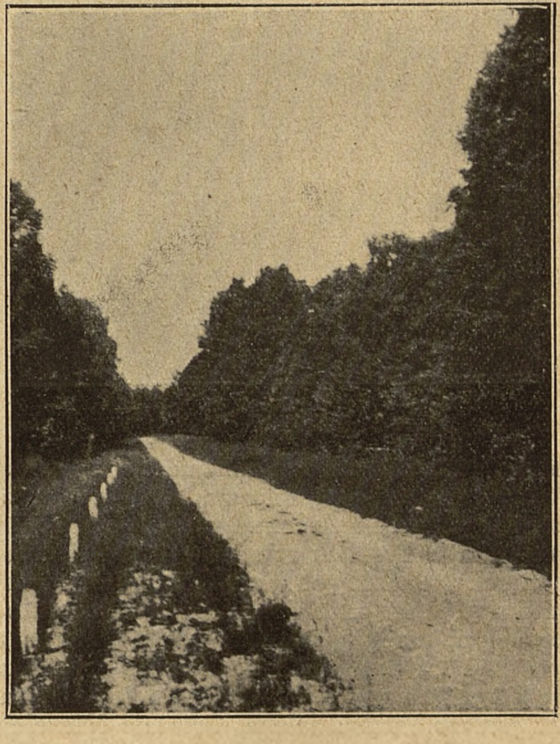
Niema chyba stowarzyszenia, związku, ani żadnej innego rodzaju instytucji społecznej, ideowej, któraby poprzestawała na propagowaniu swych haseł, na szerzeniu swej ideologji wśród społeczeństwa, z którego czerpać musi soki do życia, troszcząc się jedynie o powiększenie liczby członków, o regularny bieg programowej działalności, wszystkie inne sprawy życiowe pozostawiając na boku. I mało chyba jest instytucyj, któreby, pragnąc utrzymać swą żywotność, nie uznały za potrzebne krzyżowania swych oficjalnych dróg i celów z tak zwanem prywatnem życiem stowarzyszonych.

Bywają sytuacje, że jakieś ideowe stowarzyszenie, w chwili powstawania i potem przez krótszy lub dłuższy okres czasu, z konieczności, w braku odpowiednich ram budżetowych, nie jest w stanie zająć się w stopniu pożądanym sprawami „pobocznemi", pracując ciężko, w pocie czoła, dla spopularyzowania i rozwoju naczelnej swej ideologji, ale taki stan trwać może tylko do pewnego czasu.

Pozyskiwanie coraz szerszej popularności zmusza do coraz głębszego wnikania w psychiczne i intelektualne potrzeby wyznawców, do cementowania ich szeregów w najrozmaitszy sposób, a w szczególności przez ułatwianie współżycia towarzyskiego, przez zaspokajanie ich różnorodnych wymagań w tak zwanych „szczegółach zewnętrznych", wystąpieniach reprezentacyjnych i t. p. Wiadomo bowiem, że łączenie się pod sztandarem najbardziej zrozumiałej ideologji, w najbardziej określonych i konkretnych celach, wymaga i wymagać będzie zawsze symbolów, emblematów, znaków i wogóle tych wszystkich innych podniet, które pomagają wiązać w człowieku życie społeczne z prywatnem, umysł z uczuciem, rozumową potrzebę z psychiczną tęsknotą, pracę z zabawą i t. d.

*

Jeśli przez pryzmat tych zapatrywań rzucimy okiem na żywotność Polskiego Związku Łowieckiego, to musimy zauważyć, że, w miarę coraz szerzej rozumianej przez zastępy myśliwych całej Polski jego celowości w ramach dzisiejszego statutu, coraz większy odczuwać się daje brak tak wypróbowanego czynnika zewnętrzności, reprezentacyjności, której pożąda życie codzienne: psychiczne i fizyczne. Wiele już w tym kierunku zrobiono, ale nie wszystko. A więc w zrozumieniu tych potrzeb powołano do życia Kapitułę odznaczeń łowieckich czterech stopni; ustanowiono model związkowego stroju łowieckiego, przeznaczonego do używania podczas różnego rodzaju uroczystości; wprowadzono sympatyczną i estetyczną (zwłaszcza w małym rozmiarze) odznakę związkową do codziennego użytku członków. Nadto przy każdym Oddziale Wojewódzkim Związku istnieją kluby, skupiające swych członków towarzysko, co zresztą dziś jest tak narzucającą się koniecznością, że kwestja ta wszędzie — i nietylko w naszym Związku — jakby automatycznie znajduje się życiowe rozwiązanie. To samo dzieje się prawie powszechnie w miastach, będących siedzibami Powiatowych Rad Łowieckich, a jeśli gdzie o tem zapomniano, to luka ta odbija się przedewszystkiem na żywotności działania danej Rady Powiatowej. Cóż zrobić — takie już jest życie i tacy są ludzie.



Droga bita do Zalesia Górnego, łącząca się z szosą warszawską Fot. J. Szpilewski

Jeśli chodzi o centralę Związku, tu dopiero zaczyna się... prawdziwy dramat! Centrala Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie, zrzeszającego dziś około (a może już przeszło) 13.000 członków z całej Polski, posiada tylko... biuro. Wprawdzie myśliwi miejscowi,

nie należący do żadnych innych klubów (kółek), mają możność korzystania z życia klubowo-towarzyskiego w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego — lecz... jako jego członkowie. Natomiast każdy z zamiejscowych członków Związku, gdy uda się do swej Centrali czy to w charakterze urzędowym przedstawiciela Wojewódzkiej lub Powiatowej Rady Łowieckiej, czy też jako indywidualny interesant, w klubie tym może przebywać tylko w charakterze gościa stałych jego członków.



Dom Odpoczynkowy Pracowników B. G. K. Fot. J. Szpilewski

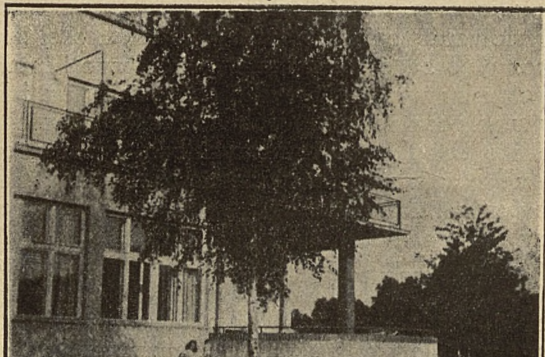
Jasnem jest, że stan ten zmienić się może dopiero wówczas, gdy centrala Związku dysponować będzie własnym „Domem Łowieckim", którego podwoje staną otworem dla wszystkich członków Związku, bez żadnych innych dodatkowych warunków. O Domu Łowieckim mówi się już od szeregu lat, dowiedziono jego koniecznej potrzeby, stworzono nawet „Fundusz Budowy Domu Łowieckiego", na którego rachunku widnieje już pewna większa kwota — do ziszczenia celu jednak jeszcze bardzo daleka. Ostatnio Naczelna Rada Łowiecka, w trosce o wypełnienie tych potrzeb, postanowiła sprawę Domu Łowieckiego uaktywnić (patrz protokół posiedzenia z dnia 14 maja r. b. w Nr. 12 „Łowca Polskiego"). To jest wielce pocieszającą wiadomością. Nie trzeba się jednak łudzić, aby — w najkorzystniejszych chociażby okolicznościach, z jakiemi realizacja tej sprawy będzie się bądź co bądź borykać —Dom Łowiecki, jak z bicza trzasł, wyrósł prędko i odrazu taki, jakiego ideał piastują w wyobraźni inicjatorzy tego zamierzenia i tysiączni już jego zwolennicy.

Najprościej więc byłoby, idąc „grzecznie" za biegiem wypadków i w zgodzie z wyrokami losu — czekać. Tymczasem jednak życie płynie niezmiennie swem korytem i domaga się czynienia zadość wielu, wielu potrzebom.

Weźmy szereg przykładów. Czyż co roku 3-go listopada nie należałoby ogłaszać zjazdu na uroczysty obchód święta Hubertowego? Lub jeszcze coś innego: jakieś kółko, stowarzyszenie, nie rozporządzające własnym lokalem, zechce urządzić jakieś zamknięte uroczyste zebranie towarzyskie... Wreszcie przyjeżdżają prawie co dnia interesenci do biura Związku z obszatru całej Rzplitej — pragnęliby uniknąć restauracji, kawiarni, chcieliby być, jak u siebie w domu. I otóż wynikają dziesiątki trudności.

Ktoś powie: — wszakże to wszystko możesz zrobić w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego *), które, prócz tego, że odnajmuje kilka pokojów na biuro Związku, chętnie udziela swych sal na wszelkiego rodzaju uroczystości braci łowieckiej. Wszakże wiele również związkowych i innych posiedzeń tam się odbywa, często dość licznych. Wszystko to prawda. Ale — stwarza się przez to pewna kolejka, niezawsze można mieć salę w pożądanym terminie (zresztą nie o jedną salę posiedzeń tylko chodzi). Trzeba się więc do tej kolejki, wbrew własnym interesom, stosować. Pozatem tak zwane dni klubowe w Polskiem Towarzystwie Łowieckiem uniemożliwiają korzystanie z lokalu postronnym instytucjom (choćby pokrewnym) w 3—4 dni w tygodniu, jeśli to jest jakieś większe zebranie. Naodwrót w dni nieklubowe, o ile nie chodzi o jakieś gremjalne zebranie i zamówiony zgóry obiad czy kolację, bufet jest w dzień wogóle nieczynny, a wieczorem niezbyt przygotowany. Wreszcie za używanie sal (światła, opału, służby) w większym zakresie trzeba płacić i to jest oczywiście zrozumiałe, jednak przedstawiać może nieraz także większą trudność... Są to tak zwane „trudności życiowe".

I jeszcze jedno. Klub, o którym mowa, choć leży bardzo wygodnie, w środku miasta, w niejednym szczególnym wypadku nie przedstawia tej atrakcyjności, jaką dawałby, znajdując się w odpowiedniem otoczeniu przyrody. Co innego np. odczyty, walne zgromadzenia, nawet uroczystości jubileuszowe i t. p., co innego znów chociażby uroczystość ku czci św. Huberta.



Taras Domu Odpoczynkowego pracowników B. G. K.

Chciałoby się gdzieś w lasy, w pola, na kobierzec szumiących pod stopami purpurowych i złocistych liści jesieni, w poszum spadającego z wiatrem złota i purpury — jesiennej szaty kniei!... A może nietylko w to Hubertowe święto milej byłoby odetchnąć pełną piersią,

*) Jak dotychczas Polskie Tow. Łowieckie z tych zadań wywiązuje się znakomicie, uzyskując zasłużoną wdzięczność za to świata łowieckiego i żadnych trudności w uzyskaniu pomieszczenia na zebrania, nawet w dni klubowe, niema. (Przyp. red).

na wolnej przestrzeni, wśród lasów i pól, gdzieś blisko od huczącego nerwowem tętnem życia miasta?! Wszak... natura wilka ciągnie do lasu.

Tutaj gotów mi ktoś powiedzieć: — tak, ale trzeba wybrać albo las, bez wszystkich innych, odpowiednich sądzić, że nawet, mówiąc o urządzaniu uroczystości warunków, albo miasto z jego wygodami cywilizacyjnemi — bez lasu. I gotów mnie jeszcze ktoś inny posądzić, że nawet, mówiąc o urządzaniu uroczystości w dniu Patrona łowiectwa na wolnej przestrzeni, myślę o... polowaniu! A — nie!... Tych podejrzliwych odsyłam do „Łowca Polskiego", do mego artykułu p. t. *„Dzień przymierza"*, w którym rzuciłem pomiędzy myśliwych myśl wręcz przeciwną: nie polowania w dniu 3 listopada — uświęcenia tej daty aktem prawdziwego przymierza ze zwierzyną.

To też drugą myślą w niniejszych rozważaniach — prócz dawno dowiedzionej potrzeby Domu Łowieckiego, własnego zakątka w Warszawie dla każdego członka Związku, jak Polska długa i szeroka — jest poruszenie potrzeby, czy powiedzmy tęsknoty za takiem azylum, gdzieby nad głowami współtowarzyszy biesiady myśliwskiej las piękny szumiał, gdzieby słońce dochodziło wprost z nieba, niekrępowane murami miasta, gdzieby twarz owiewał wyraźny prąd rozpędzonego naturalną swą drogą wiatru... I gdzieby zarazem znalazły się rzetelne miejskie wygody.

I jedno i drugie ma swoje znaczenie i znajdzie zastosowanie.

Powątpiewacie, czytelnicy, czy można wogóle to ostatnie w lesie osiągnąć?

Nic łatwiejszego!

*

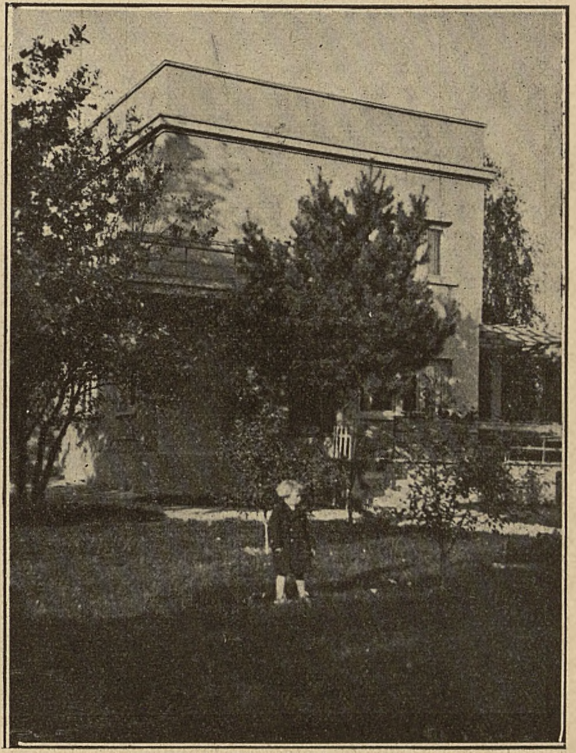
Miałem niedawno sposobność zwiedzenia pewnego blisko pod Warszawą położonego osiedla. Jest to osiedle Zalesie Górne, powstałe w r. 1930 na pięknym lesistym terenie, w otoczeniu wielkich rezerwatów leśnych, które dla braku dogodnej komunikacji ze stolicą, a przedewszystkiem dzięki lokowaniu się przemysłu w innych okolicach Warszawy, zachowały swój dziewiczy charakter i urok.

Na urok ten trzeba położyć wyraźny, mocny nacisk, gdyż niema w tem słowie w danym wypadku żadnej przesady. Działkowicze Zalesia pobudowali swe siedziby również w taki sposób, że charakter pięknych zagajników i lasów o pełnem podszyciu, tylko zrzadka, gdzieniegdzie i tylko zbliska świeci łysinami kultury. (Używam tu umyślnie tego paradoksalnego zestawienia, bowiem urok dziewiczości prawdziwie „dzikiego" naturalnego zadrzewienia pozostał tam do dziś w 75%). Drzewostan starszy i młodszy, to głównie sosny, dęby (których jest bardzo dużo), brzozy, a wszystko od dołu w pełnem, gęstem, zupełnie dzikiem podszyciu.

W r. 1934 powstało Stow. Przyjaciół Zalesia Górnego, które podjęło odpowiednią akcję i nakłady pieniężne dla podniesienia osiedla i nadania mu w granicach właściwych, nie szpecąc przyrody, ani nie zamazując naturalnych zalet kniei, odpowiednich warunków rozwojowych. A więc własnym kosztem zbudowano drogę bitą, łączącą szoszę z Warszawy z osiedlem, postawiono przystanek (tej samej nazwy) na linji kolejowej Warszawa - Radom, przeprowadzono prąd elektryczny z elektrowni w Pruszkowie, uregulowano szereg ulic etc.

Te inwestycje przydały osiedlu życia, czynią je ponętniejszem i łatwiej osiągalnem dla mieszkańców stolicy bez większej straty czasu. Cóż bowiem znaczy przejazd dwudziestu kilku kilometrów samochodem? Nieco gorzej jest z dojazdem kolejowym, który traci aż 50 minut, lecz w najbliższej przyszłości i to się zmieni, gdy zostanie przeprowadzona projektowana już elektryfikacja odcinka Warszawa-Radom.

Ale cóż mamy takiego w samem osiedlu Zalesiu Górnem, ażeby służyć ono mogło jako miejsce wypadów myśliwskich, wycieczek bez strzelby — aby pozwalało na urządzanie tam mnieszych lub większych zjazdów, towarzyskich zebrań, lub nawet służyło jako miejsce odpoczynku małej grupki myśliwych, pragnących odetchnąć powietrzem kniei?



Jedna z prywatnych willi

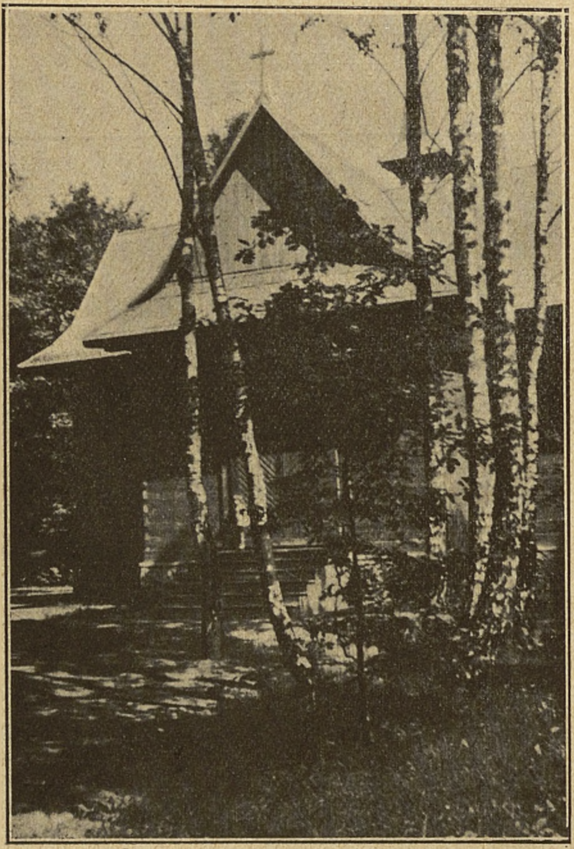
Prócz nieodzownych warunków: światła elektycznego, kanalizacji, telefonu, poczty, posiada Zalesie Górne wszystkie inne udogodnienia, na jakie w mieście liczymy napewno, a bez których trudno się nam często obejść. A więc osiedle posiada szereg pensjonatów (prócz około setki willi prywatnych), schronisko Zarządu osiedla (z 12-tu bardzo przyzwoitemi pokojami noclegowemi, salą balową i t. p.) i wreszcie najbardziej nowoczesny, prawie luksusowy, obszerny dom odpoczynkowy Zrzeszenia Pracowników B.G.K. z kasynem (restauracją i t. d.), dostępnem dla przyjezdnych gości. Tam nawet największe zebranie może się czuć zupełnie dobrze i zadowolić swoje wymagania. A przytem — dokoła las...

Przejdźmy się jeszcze ulicami i odczytajmy ich pomysłowe, oryginalne, a bliskie sercu myśliwego nazwy, rozmieszczone na tabliczkach emaljowanych, biało-zielonych, z godłem osiedla: głową jelenia św. Huberta. Oto te oryginalne, pomysłowe nazwy:

Aleja Pionierów Uroczyska, Aleja Wiekowej Sos-

ny, Aleja Koralowych Dębów; ulice: Białej Brzozy, Echa Leśne, Jelenich Rogów, Poranku, Promiennego Słońca, Przebudzenia Wiosny, Sarenki, Wrzosów, Zajęczy Trop, Złotej Jesieni, Jastrzębi Lot, Zagajników; zaułki: Czterech Wiatrów, Lisie Jary, Szumiącej Jodły; drogi: Dzików, Wilcząt, Leśnych Boginek etc.

To wszystko zatem, co posiada osiedle Zalesie Górne i czem się szczycić mogą jego założyciele i organizatorzy, wystarcza, aby miejscowość ta nadawała się pod każdym względem na wszelkiego rodzaju wycieczki, zebrania, a nawet uroczystości.



Kaplica im. św. Huberta w Zalesiu Górnem. Fot. J. Szpilewski

Teraz bowiem jeszcze muszę podkreślić rzecz najważniejszą — jeśli chodzi o prawdziwe uroczystości, u myśliwych święceniem dnia Hubertowego zwane — że Zalesie, dzięki inicjatywie i ofiarności osób dobrej woli, posiada także kaplicę pod wezwaniem św. Huberta: nowozbudowany kościołek drewniany ale masywny, stosunkowo dosyć obszerny; nad ołtarzem umieszczony jest symboliczny, wszystkim znany obraz św. Patrona łowiectwa, klęczącego przed ukazującym się Mu jeleniem z krzyżem pomiędzy rogami, otoczonym aureolą światła. Nad klęczącą postacią świętego pochylony stoi Chrystus Pan. W tej odmiennej od innych wersji kompozycję swą potraktowała artystka malarka M. Rogowska - Gajduczeni.

W dniu 18 czerwca r. b. kaplicę tę poświęcono i odprawiono w niej pierwszą Mszę św. Konsekratorem i celebransem był ks. proboszcz Władysław Malej z parafji Jazgarzew, który gorąco przemówił do zgromadzonych w liczbie około 300 osób wiernych, polecając nową świątynię i całe osiedle Zalesie Górne szczególnej opiece św. Patrona łowiectwa.

Kaplica ukończoną jeszcze nie jest. Brak podłogi, zewnętrznej i wewnętrznej wyprawy i szeregu szczegółów wnętrza. Toteż ks. Malej zwrócił się z apelem do mieszkańców osiedla i okolicy, jak również do szerokiego świata myśliwskiego o poparcie zbożnego dzieła. Czuję się w obowiązku, jako obecny na uroczystości poświęcenia kaplicy św. Huberta w Zalesiu Górnem, do publicznego powtórzenia tego apelu, w przekonaniu, że ofiary popłyną tem hojniejsze, im wcześniej skromną tę świątynię, ukrytą w szczerem i pięknem środowisku prawdziwej kniei, ujrzą szersze koła Kolegów-myśliwych z Warszawy i stron dalszych.

Myślę także, iż powstanie tak blisko Warszawy kaplicy św. Huberta w malowniczem, bliskiem sercu wszystkich myśliwych ustroniu leśnem — obok wszelkich udogodnień cywilizacyjnych, najzupełniej miejskich — skłonić powinno Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego do urządzenia tam pierwszej, w odpowiednich ramach pomyślanej, uroczystości Hubertowej w dniu 3-go listopada roku bieżącego.

Byłoby to niewątpliwie z wdzięcznością powitane przez większy zastęp myśliwych — i nietylko może zamieszkałych w Warszawie. Takiej uroczystości — podniosłej i bratniej — uroczystości ku czci św. Huberta, podkreślonej całkowitem przymierzem ze zwierzyną (której Zalesie Górne posiada sporo!) oczekujemy...

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

USTRONIE

Letni ranek zbudził się w szuwarach
i bagienne zarumienił tonie.
Wiatr w sitowiach zaszeleścił starych,
budząc ze snu cichych wód ustronie.
Gęstej mgły zasłony się rozwiały —
nenufary zapłonęły białe...

Tutaj, zdala od gwarnego świata,
wśród zarośli wonnych tataraku,
gdzie zawita czasem brać skrzydlata,
znalazł sobie kaczor skrytkę taką,
że go chroni ściana trzcin wysoka,
że go żadne nie dostrzeże oko...

Wolno, cicho płyną dnie za dniami...
Nowem pierzem porastają skrzydła...
Pustelnicze życie pod trzcinami
kaczorowi dawno już obrzydło.
Ciągle serce dławi mu tęsknota —
takby chciał poderwać się do lotu!

Wzwyż się wznieść, w przestworzu tonąc czystem,
pomknąć gdzieś na nowe żerowiska
z mocnych skrzydeł szumem i poświstem...
W liściach łozy pierwszy płomień błyska,
odblask zorzy w nenufarach płonie,
budząc ze snu błotnych wód ustronie.

W. L. VON FALKENAU

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

SAFARI

Trzech tylko białych zatrzymuje się w Kijabe, gospodarz nasz i my. Kiedy wysiedliśmy z wagonu, pojawił się ubrany biało gentleman i uchylając kasku, zapytał, czy zaraz chcemy widzieć naszą „safari".

Jak na przeglądzie, pod wodzą maniapary i dwóch askarysów, zbrojnych w stare karabiny, czekało ustawionych szeregiem 40 tragarzy gotowych do pochodu, a za nimi dwa okulbaczone już muły i wóz ciężarowy na wysokich kołach, zaprzężony w sześć par wołów. Całość przedstawiała się dobrze, pokaźnie, nawet budziła zaufanie. Ludzie byli dorodni, odziani dość jednostajnie, z czerwonemi kołdrami zwiniętemi na głowach w turbany i z przewieszonemi przez plecy blaszanemi manierkami. Wóz i zaprząg w porządku, muły rosłe i utrzymane dobrze.

Miejscowy gentleman przywołał maniaparę, powiedział mu kim jesteśmy i oficjalnie oddał nam karawanę, która teraz pod nasze przechodziła rozkazy.

— „Jambo wa-pagazzi!?" — jak się macie tragarze? — „Jambo, mzuri bwana!" — witamy, dobrze panie! — Zrozumieli mnie, niedarmo wertowałem suahili na statku. Z dumą spojrzałem na mego towarzysza. 25 rupji do podziału; rewja była skończona. Ruszać mogliśmy choć zaraz.

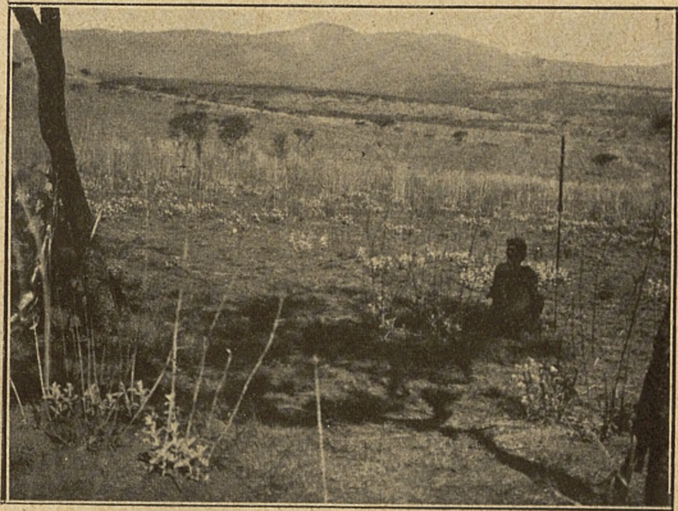
Doręczono nam spis przedmiotów, dostarczonych przez przedsiębiorcę, klucze od skrzynek i egzemplarz umowy z ludźmi. Odtąd maniapara do nas już tylko zwracać się miał po zlecenia, „safari" była na naszej odpowiedzialności.

W podróżach tego rodzaju obowiązuje niejako stan wojenny i dość surowe prawa, ustanowione przez władze angielskie. Przywileje przysługujące podróżnemu, zarówno jak jego obowiązki wobec wynajmowanych ludzi, określone są wyraźnie w formalnej umowie, zawieranej każdorazowo przed komisarzem rządowym jako kontrakt, bez którego zbierać „safari" nie wolno. W myśl umowy, tragarz dostaje: trykotowy, bawełniany kaftan, „americani" czyli rodzaj lichego koca, zwykle czerwonego, używanego w nocy jako kołdra, a w dzień jako zawój podkładany na głowie pod noszony ciężar. dalej blaszaną lub drewnianą manierkę do wody i koniecznie nóż w pochwie, noszony u pasa. Prócz tego tragarze dostają „posho", t. j. miarkę mąki z prosa lub z kukurydzy dziennie, 10 rupji miesięcznie i wreszcie, na każde pół tuzina ludzi, namiot wspólny i duży garnek do gotowania.

Wyżej oczywiście płaci się maniaparę, kucharza i boy'ów, a zwłaszcza czarnych strzelców, biorących po kilkadziesiąt nawet rupji miesięcznie. Wzamian za powyższe wynagrodzenie, czarny tragarz obowiązany jest dźwigać bagaż, ważący niekiedy 60 funtów, a potem, zależnie od rozkazów maniapary, nosić na postojach wodę, rąbać drzewo i grodzić „bomę", czyli kolczasty płot, jeżeli grożą obozowisku krajowcy lub dzikie zwierzęta.

Dość zachęcająco brzmi ustęp kontraktu, dotyczący zachowania się tragarzy na przypadek śmierci białego. — „Safari obowiązaną jest dostawić jego ciało do najbliższej stacji i oddać je władzom". — Podobno zdarzało się dawniej, że tragarze mordowali podróżnego i, zagrabiwszy jego mienie, donosili, że umarł, lub zabity przez zwierza na polowaniu, pochowany został na miejscu. Dziś więc, nawet w razie prawdziwego wypadku, grzebać umarłego nie wolno i dostaczyć go trzeba do miejsca, gdzie badanie pośmiertne stwierdzić pozwala rodzaj śmierci.

Łatwo odgadnąć, jak przedstawiać się musi p o w r ó t taki, z dalszych okolic zwłaszcza i przy upale dochodzącym 50° C. Myślę, że nawet czarni, choć wrażliwością powonienia nie grzeszą, wolą raczej wyrzec się zdobyczy, niż odbywać „safari" w podobnych warunkach i wracać z „podróżnym" niezupełnie świeżym.



Z albumu Autora

Gdy chodzi o wycieczki do okolic bliższych, uczęszczanych, przepis ten, rzecz oczywista, znaczenia nie ma. Jeżeli jednak „safari" dotrzeć zamierza do krajów odległych, dzikich i prawdziwie niebezpiecznych, w których biały, zdany na łaskę i niełaskę tragarzy, przebywać ma przez czas dłuższy, ostrożności podobne i nadewszystko staranny dobór ludzi w karawanie nie zawadzą.

Umowa, zawierana w obecności i pod egidą komisarza, podpisaną zostaje przez obydwie strony. — Formalność tę za podróżnego lub za sportsman'a załatwia zazwyczaj przesiębiorca organizujący wyprawę, czarni zaś, którym obcy jest kunszt pisania, „pieczętują się" umazanym w czernidle wielkim palcem prawej ręki. — Obok podróżnego, głównemi osobami karawany są: maniapara t. zn. dowódca i askarysi, stanowiący niejako straż i policję „safari". Na odpowiedzialne te i płatne nierównie lepiej stanowiska dobierani bywają przeważnie czarni z innych plemion; cywilizowani już do pewnego stopnia Zulusi, lub Kafrzy z Południowej Afryki.

Jakkolwiek „safari" gotową była zupełnie, puszczać się w drogę z powodu spóźnionej pory nie mogliśmy zaraz. Formalności kolejowe i podział bagażu między tragarzy zajęły czas do piątej, noc zapadała o szóstej, światła więc pozostawała godzina ledwie.

Droga zaś, spuszczająca się z gór przez skaliste wą-

wozy, trudna była, dla ładownego wozu zwłaszcza i za dnia nawet. Na tę noc więc zmuszeni byliśmy pozostać jeszcze w Kijabe i, co gorsza, korzystać z gościnności przedsiębiorcy, zapraszającego nas do hotelu czy sanatorjum, które posiadał w pobliżu. Po niemiłem bądź co bądź nieporozumieniu, jakie zaszło niedawno między nami, perspektywa spędzenia wieczoru w jego towarzystwie nie nęciła nas zbytnio.

Wyboru jednak nie było, bo „bungalow" kolejowy był zajęty, a rozbijanie obozu nosiłoby cechy demonstracji, której woleliśmy uniknąć. — Stanęło więc, że karawana pozostanie na stacji, a my przenocujemy w hotelu i wyruszymy nazajutrz przed świtem.

Wysławszy pośpiesznie karty ostatnie i depeszę o zakończonej szczęśliwie podróży, pieszo ruszyliśmy w góry, do „Kijabe Hill".



Z albumu Autora

Z początku droga prowadziła przez stary cedrowy las, między niebotycznemi drzewami, brodatemi od mchów i porostów, przypominający puszcze nasze i mateczniki. Nie było w nim ani palm, ani aloesów, które nie rosną już na takiej wysokości, nawet pod równikiem. Potem, wyżej, las kończył się i wyszliśmy na otwarte hale górskie, z których widać było świat na dziesiątki mil wokoło. W dali, na samym widnokręgu, niżej dużo niż Kijabe, błyszczało w gasnących promieniach słońca jezioro górskie Naivasha. Krajobrazem jednak cieszyliśmy się niedługo, bo noc zapadała szybko i ciemno było zupełnie, kiedy ukazały się światła w przymusowem naszem asylum.

Nauczony smutnem doświadczeniem ubiegłej nocy, wdziałem na stacji wełnianą koszulę i jesienne, ciepłe ubranie. Mimo to, idąc pieszo cztery czy pięć kilometrów dzielących hotel od stacji, przemarzłem nawskroś, jak w najchłodniejszy nasz jesienny dzień. Ciało, przywykłe na statku do gorąca, nie znosiło zimna zupełnie. Z niekłamaną też przyjemnością zbliżyłem się do ognia na kominku w hall'u, jak u nas zimą na polowaniu. Ogień na kominie w Afryce — pod samym równikiem, gdzie w dzień ciało topnieje od gorąca!

Wieczór upłynął znośniej, niż obawialiśmy się zrazu, bo w hotelu, między gośćmi, było kilka osób znających kraj i prawdziwie zajmujących.

Zasnąłem, myśląc o ich opowiadaniach, z obrazem „nyiki" pod powiekami i przespałem noc ostatnią pod dachem, jak kamień.

POCHÓD.

— „Tajari? — Tajari bwana. — Kwenda! „Gotowi? — Gotowi panie. — Ruszaj! — Ostatni rzut oka— długi sznur tragarzy z bagażem na głowach, dwa osiodłane muły i naładowany czubato wóz, w sześć par garbatych wołów miejscowych. Muły prowadzi za uzdy „sais", czarny stajenny, który opiekować się niemi będzie w podróży; wołami, zaprzężonemi w jarzmach do łańcucha, zwieszającego się pod dyszlem, kieruje, krzycząc nieludzkim, gardłowym głosem, rosły mulat: pół Boer, pół Hotentot.

Tragarze wyciągnęli się w szereg, prowadzi maniapara, a zamykają pochód askarysi z karabinami na ramieniu i sais. Obowiązkiem askarysów będzie przestrzegać ładu na postojach, pilnować obozu i w pochodzie poganiać maruderów.

Ochrypłym od krzyku głosem maniapara tłomaczy coś jeszcze tragarzom.

Osobista nasza służba, postacie dla reszty karawany obce tymczasem, nie zlała się jeszcze z gromadą i trzyma się na uboczu. Zresztą każdy z nich stara się być użytecznym i niesie coś z naszych rzeczy. Mahomet opiekuje się aparatem fotograficznym i manierką, Mabruki — sztucerem w pokrowcu, a skinnerzy niosą kobiałki ze śniadaniem. Jeden tylko kucharz, dostojny zawsze i zazdrosny o należne mu względy Jussuf, nie niesie, prócz swego parasola, nic.

— Gotowi? — Maniapara krzyknął, poganiacz u wozu trzasnął z bata, woły położyły się w jarzmach, zaskrzypiały koła — „kwenda"! — Ruszyliśmy.

Droga, a raczej bezdroża, któremi „safari" zejść miała w głąb doliny, ciągnęły się dnem suchego łożyska strumienia górskiego czy potoku, zasłanego rumowiskiem żwiru i kamieni; wóz coraz wymijać musiał potężne głazy, zamykające drogę.

Słońce tylko co wzeszło i nie wyjrzało jeszcze nad krawędzie skał. Ledwie co wyższe szczyty złociły się w jego promieniach, po czarnych zboczach pełzały cienie, w wąwozach u stóp gór czaiła się jeszcze noc. Ranne powietrze było chłodne, rzeźwiące — skrzydła wyrastały nam u nóg. Świeża, wypoczęta karawana szła raźno, jeden z tragarzy dął przeraźliwie w trąbę z rogu antylopy.

Po drodze przyłączył się do nas stary osadnik Boer, idący do swej fermy. Gawędząc łamaną angielszczyzną o „safari" i o polowaniu, słuchaliśmy pilnie wskazówek, jakich udzielał nam stary. — „Jeżeli który zabłądzi, niech po słońcu wraca na drogę, którą szedł wóz, to po śladach kół i wołów dojdzie zawsze do obozu. — A chcecie spotkać się z lwem, to najlepiej ranić zebrę. Nie na śmierć, a po brzuchu albo po zadzie, żeby dała farbę. W nocy lew po czerwonym tropie odszuka ją i weźmie, a wtedy

nie pójdzie daleko i znaleźć go można w sąsiedztwie, w haszczach, albo między skałami, kiedy obżarty śpi w gorąco".

Rady przygodnego naszego towarzysza podróży tchnęły prawdą i sprawiały wrażenie, że opowiadający czerpie je z własnego doświadczenia, które, wobec długich lat spędzonych na Czarnym Lądzie i różnych kolei przez jakie przechodził, musiało być bogate.

Niemniej ciekawą zresztą, jak jego opowiadanie, była postać starego „Afrykandra". Wysoki, chudy, trzymał się mimo starości prosto i, nie zważając na szybkie tempo pochodu, wytrwale dotrzymywał kroku. Jak starzy holenderscy chłopi, prócz siwego, brudnego zarostu na gardle i na podbródku, twarz miał wygoloną zupełnie. Za ubiór służył mu filcowy, świecący od tłuszczu kapelusz z szerokiem rondem, przeraźliwie brudna wełniana koszula z kieszeniami na piersiach, spodnie do kolan i sznurowane, grube trzewiki, podkute gwoździami. U rzemiennego pasa wisiał mu na biodrach nóż i mała kaleta z tytoniem do fajki, której nie wypuszczał z ust. Chustki do nosa nie używał. Na twarzy i na goleniach skórę miał chropowatą, jak wygarbowaną, barwy mahoniu. Jednem słowem — typ, za jakim w Europie chodziliby gapie tłumami.

Niestety, wspólna podróż nie trwała długo, bo już po dwóch godzinach drogi nasze rozchodziły się w przeciwnych kierunkach. *„Good bye! — Good bye!"* — Każdy ruszył w swoją stronę; krótka znajomość była skończona.

Z początku, spuściwszy się z gór, spotykaliśmy na równinie ślady mieszkających gdzieś w pobliżu białych. Minęliśmy dwie małe fermy, ogrodzone kolczastym drutem i częstokołem, mały pojedyńczy domek i w cieniu, pod skałą, sztuczną sadzawkę z wodą, w której poiło się właśnie stado kóz.

Powoli jednak, w miarę jak oddalaliśmy się od Kijabe i od linji kolei, śladów takich było coraz mniej, a kraj stawał się dzikszym i więcej pierwotnym. Na drodze tylko, gdzie nie pokryta była głazami, dopatrzeć można było jeszcze śladów wozów i obuwia. — Zwierzyny za to, a zwłaszcza zebr, których pojedyńcze okazy spotykaliśmy w górach przy samej stacji, widać było teraz całe stada.

Droga nasza, choć już równiejsza niby, falowała wciąż; to wznosząc się, to zniżając, schodziła w głąb parowów, pięła się przez kamieniste progi i, omijając co wyższe głazy, snuła się między skałami, jak żółta wstęga.

Na równinie, między rozrzuconemi bezładnie, potężnemi złomami, porastały rzadkie kolczaste haszcze, przez które wzrok sięgał coraz dalej. Najwidoczniej zbliżaliśmy się do okolic więcej otwartych, stepowych. Na miejsce cedrów i porostów, które pozostały w górach, przed nami pojawiły się znowu palmy, mimozy i ostromlecze.

Szliśmy teraz środkiem rozległej kotliny, szerokiej na 30 kilometrów może, zamkniętej, oraz bliskiemi zupełnie, to znów ginącemi w oddali, zębatemi ścianami wzgórz, usianemi bezładnie skałami i czarnemi kopcami wulkanicznych kretowisk. Wprost przed nami dolina otwierała się szeroko w błękitną przestrzeń bez końca, a pośrodku, daleko, pławiąc jeszcze szczyt swój w białych, porannych chmurach, wznosił się Longonot, u stóp którego obozować mieliśmy nazajutrz wieczorem.

Spojrzałem za siebie: o paręset kroków „safari" długim korowodem spuszczała się z wąwozu, który przebyliśmy przed chwilą. Na przodzie widać było rosłego maniaparę i naszą służbę, potem, niosąc bagaż na głowach, sznurem ciągnęli tragarze. Za nimi sais prowadził muły, a na końcu, zamykając pochód, szli askarysi. Wóz pozostawał daleko za nimi i widać go było zaledwie.

Sport! Ani słowa! — Podróż prawdziwa, w wielkim stylu; w całem słowa tego znaczeniu: podróż! Przyznaćby to musiał najwybredniejszy turysta.

Słońce, które przygrzewać poczęło ledwie wyjrzawszy z ponad ściany urwisk, wyszło teraz nad jar i paliło, jak płomień. Odczuwali to najwidoczniej nie przywykli jeszcze do znoju tragarze, bo szereg ich, zwarty z początku, wydłużał się coraz więcej i zdaleka świecił szczerbami. Jak zwykle pierwszego dnia pochodu, co słabsi ludzie męczyli się łatwo i podążyć za resztą nie byli w stanie; wóz straciliśmy już z oczów zupełnie.

Po trzech godzinach marszu, kiedy zrobiliśmy już jakieś dwadzieścia kilometrów, przybiegł zadyszany maniapara z wiadomością, że muł, na którym jeździć miał L., wyrwał się chłopcu i uciekł w stronę stacji. Należało więc koniecznie odszukać go i sprowadzić z powrotem. Postanowiliśmy, że jako poszkodowany i lżejszy wagą L. wsiądzie na mojego muła i wziąwszy saisa, pojedzie łowić zbiega, choćby dotrzeć wypadło za nim do samego Kijabe-Hill. — Karawana tymczasem dojść miała do najbliższego postoju i czekać tam na ich powrót. Wypadek ten, choć bez znaczenia, miłym nie był, bo opóźniał podróż o pół dnia blisko i psuł porządek postojów, które wyznaczone były zgóry. Innej rady jednak nie było, bo wobec uderzającej głupoty saisa, obawialiśmy się posyłać go samego. Podróż więc już od samego początku zapowiadała się pełną przygód, nie zawsze zresztą pożądanych.

Wkrótce po odjeździe L., karawana spotkała kilkunastu Wa-Kikuju, pędzących drogą stada owiec w czarne łaty i garbatego miejscowego bydła. Mijając nas, krowy z cielętami wietrzyły obcego, przystawały i groźnie nastawiały rogi, jak gdyby uderzyć chciały za chwilę. Zwierzęta domowe bliższe tam są stanu natury i, narażone na ustawiczne niebezpieczeństwa, zagrażające im od otoczenia, dziksze nierównie i więcej napastliwe. Na pastwisku krowa bronić tam musi często małego od hyeny czy lamparta, stąd czujność większa i odwaga. — Nie namyślając się, ustąpiłem placu, bo śmiesznem byłoby zginąć w Afryce od swojskiej krowy, pierwszego dnia podróży.

Czarni szli zupełnie nadzy; prócz zausznic, naszyjników i innych ozdób z drutu, nie mieli na sobie nawet klasycznych „Americani". Uzbrojeni za to byli od stóp do głów. Każdy miał długą żelazną dzidę, krótką maczugę i mały miecz w skórzanej pochwie u psa. Przez plecy wisiały im na rzemieniach tykwy na wodę.

„Jambo!" — pozdrawiali nas uprzejmie, spędzając stado z drogi. Jeden z nich podszedł do naszego maniapary i, pokazując ręką w stronę skąd przychodzili, rozpowiadał coś długo. — Idąc, widzieli jakoby niedaleko lwy na stepie, które podeszły ku nim i, wdzięcząc się do pędzonego bydła, czaiły się bokiem. Wobec tej wiadomości maniapara radził przygotować broń na wszelki przypadek. — Posłuchałem go skwapliwie, bo nie wiedziałem jeszcze, że w opowiadaniach podobnych niema najczęściej słowa praw-

dy. Lew nie napada nigdy w dzień, a zwłaszcza nie napada bydła, przy którem widzi człowieka. Murzyn jednak, kłamca urodzony, wie dobrze, jak hojnym bywa bakczysz naiwnego sportsman'a za wiadomości o grubym zwierzu. Na poczekaniu więc stwarza historję całe, wyssane z palca, które, poza sferą jego dziecinnej zresztą wyobraźni, nie istniały nigdy.

— „A gdzie tropy? Pokaż! — Hapana. — Niema. Kongoni!! — Bydlę!"

Rupji zresztą, którą dałem pomysłowemu Kikuju, nie żałowałem, bo choć lwom nie śniło się wchodzić nam w drogę, czas dzięki jego bajce wydał mi się krótszym i słońce mniej gorącem. A o cóż chodzi więcej! Wszak główny urok polowania nie polega na strzelaniu i na zabijaniu, lecz na szukaniu i oczekiwaniu czegoś, co urzeczywistnia się nie zawsze. A wreszcie — być w Afryce, w okolicach, gdzie spotkać można lwy na każdym kroku, to znaczy już polować na nie. Spodziewać się spotkania miałem pewne prawo, bo w miejscowościach, przez które przechodziliśmy właśnie, widok lwa, w biały dzień nawet, do nadzwyczajności nie należy. Osadnicy zabijali tam lwy z okien swych domów.

Niestety, na ten raz nadzieja zawiodła: Ich Królewskie Moście mniej na mnie były łaskawe, niż na czarnych Wa-Kikuju, i ukazać się nam nie raczyły. Nie widzieliśmy nawet ich śladów; dźwigałem sztucer napróżno. Drogę za to odbyłem nie wiedząc kiedy i ani spostrzegłem, jak szybko minął czas, gdy maniapara około jedenastej zatrzymał nas na wypoczynek.

Postój wypadał w jarze, nad korytem wyschłego strumienia, w cieniu urwiska, pod którem, między skałami, na dnie ciemnej, głębokiej jamy, była woda.

Obraz, jaki tam miałem przed oczami, afrykański prawdziwie, powtarzał się później często. U źródła w jednej chwili zaroiło się od ludzi. Zmęczeni, świecąc od potu, tragarze nadchodzili po paru, po jednemu i, ledwie zrzuciwszy bagaż swój z głowy, biegli do wody, którą pili i pili bez końca. Dopiero ugasiwszy pragnienie, napełniali wodą próżne manierki i wracając do swego ładunku zaczynali jeść. Scena ta, zawsze jednakowa, powtarzała się, ilekroć na postoju była woda. — Woda! — Błogosławione źródło życia, bez którego niema w Afryce ani „safari", ani polowania, ani życia!

Ognisk na dziennych postojach nie rozkładano i nie gotowano strawy, bo tragarze w podróży jadają zwykle dosyta raz tylko na dzień, po rozbiciu obozu, wieczorem. Wozu, który nadciągnął znacznie później, nie wyprzęgano również, a tylko z ręki podano wołom trochę wody.

Pod względem odporności na upał i wytrzymałości, pociągowe bydło afrykańskie było niewiele ustępujące wielbłądom. W okolicach bezwodnych, woły pojone bywają raz tylko dziennie i nie ustając w pracy wytrwać potrafią bez wody trzy doby.

Napiwszy się, ludzie jedli co kto przyniósł: chleb, suszone mięso i placki z prosa. Nasze śniadanie składało się z mięsa na zimno, chleba z masłem i wody mineralnej, w którą zaopatrzono nas w Kijabe.

(D. c. n.)

STANISŁAW ZABOROWSKI



Wysepka z kureniem (Do artykułu „Na wodach Polesia", str. 411) Fot. Z. Chomętowska



...Mijają się łodzie nawzajem... Fot. Z. Chomętowska

NA WODACH POLESIA

Ciemna noc. Zdaleka widać spowite pomarańczową mgłą ognisko. W przystani lekko leżą łódki na śpiącej wodzie. Gajowi obładowani myśliwskim rynsztunkiem stąpają ciężko po miękkiej glebie. Z pod łapci wydobywa się kwiląca muzyka wyciskanej z łąki wody. Śpieszą myśliwi, bo są już nieco spóźnieni. Żadne słowo zbyteczne nie padnie. Idą tajemniczo, w skupieniu. Przeżywają jakieś misterja. Wioślarze szybko załadowali łodzie, usadzili myśliwych. Każdy mości się wygodnie na swem siedzeniu, usłanem z siana, i układa się do snu.

Cichy, milczący odjazd. Suną łodzie jedna za drugą. Niekiedy rozlegnie się suche uderzenie wiosła o drewnianą burtę „czajki". Po wodzie migają promienie oddalającego się ogniska. Każdy śledzi oczyma ten feeryczny i jedyny w swoim rodzaju widok. Las piętrzy się tajemniczo po obu stronach czarnej rzeki i tworzy jakiś nieprzenikniony tunel ciemności. W chwilach takich każdy myśliwy żyje najpiękniejszą stroną swej duszy i operuje najidealniejszemi myślami, aż sen głęboki i zdrowy go zmorzy.

Na wodzie spokój i cisza, tylko ryba czasami pluśnie hałaśliwie, lub bąk zdaleka zahuczy basem swą dziwną pieśń.

Płyną łodzie długo w noc. — Powoli niebo jaśniejsze się staje, gwiazdy coraz bledsze i fala podnosi się na rzece. Na odkryte łąki, z lasu, wypłynęły łodzie. Dreszcz przeszedł wioślarzy, przekazał się śpiącym myśliwym. Podciągają się futra, kurczą ciemne sylwetki.

Księżyc złocisty wypłynął na błękitne niebo. Robi się jasno, tak bardzo jasno, że niewiadomo czy to noc taka, czy też dzień się zbliża.

Z łopotem zrywa się kaczor, przerażony niesamowitemi cieniami wioślarzy. Nie usłyszał ich bowiem, tak cicho suną łodzie.

Na horyzoncie już wyraźnie różowi się zorza, a jasna bania księżyca kołysze się jeszcze wśród łóz i szuwarów. Znów zerwało się kilka kaczek. Gajowi od łódki do łódki zaczynają swe myśliwskie gawędy pełne prostoty, jedyne w swoim rodzaju. Warto już wyrzec się snu i przez chwilę wraz z nimi, tymi prymitywnymi ludźmi, tak związanymi z naturą i nie psującymi jej harmonji, przeżywać przebudzenie się dnia.

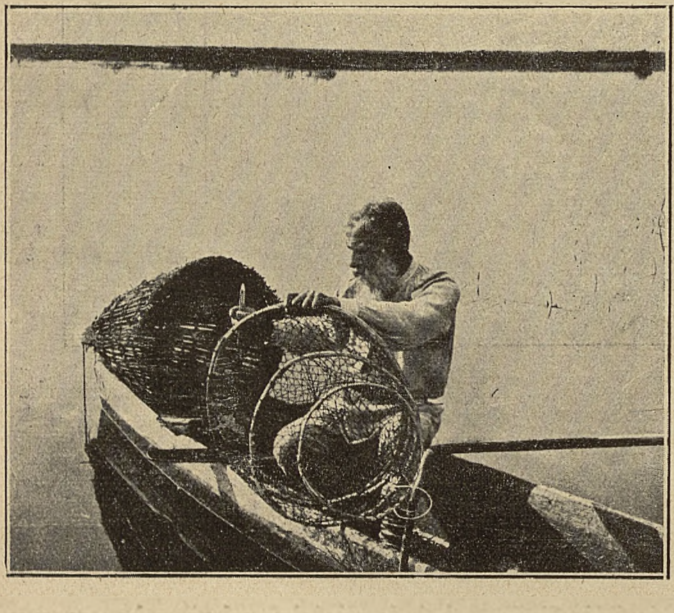
Zbyt wcześnie jeszcze, by o strzałach morderczych

myśleć, i... zbyt pięknie. Zaświtała myśl: podzielić się tym ogromem wrażeń z tymi, którzy nie znają podobnych przeżyć, którzy nie spędzili nocy na rozlewach Bobryka i których nie omamił dziwny urok Polesia.

Kamera spoczywa w plecaku... Ale oto już krwawi się słoneczna tarcza nad horyzontem, mijają się łodzie nawzajem, nikt prawie już nie śpi. Niektórzy nawet, żądni pierwszego łupu, zdążyli dubeltówkę wziąć w ręce.

Pora i mnie na łowy. Wydobywam z futerału swą Leicę i gotuję się do celnych strzałów.

Na jakieś milczące porozumienie się wioślarzy rozpryskuje się promienista gwiazda łodzi i każda z nich, pchnięta silniejszem uderzeniem wiosła, znika w gęstwinie traw, łóz i oczeretów. Któryś z gajowych próbuje wabika. Jakby naprawdę na jakiś tajemniczy zew, ze wszystkich stron spadają kaczory z głośnym świstem skrzydeł. Jeszcze łódź nie ukryta, więc z łopotem odrzucają się w bok, niezdarnym ruchem skrzydeł odzyskując równowagę i mkną przerażone w dal.



Stary rybak naprawia sieci... Fot. Z. Chomętowska

Padają strzały. Pierwsze zazwyczaj chybione; jeszcze się myśliwy nie „włożył". Denerwują się ci, których gajowy zamarudził z ustawianiem „krykuchy", lub zamaskowaniem łodzi. Kanonadę coraz gęstszą słychać ze wszech stron.

Jak w kalejdoskopie, zmieniają się obrazy. To piętrzą się chmury groźne i pełne potęgi, tworząc niesamowite cienie na olbrzymiej przestrzeni wód, to znów, gdy wyłoni się słońce, na chwilę wszystko przybiera miękkie, pastelowe tony, mieni się barwami tęczy. Płyną po niebie feeryczne wizje i znikają, jak sen...

W żadnym chyba terenie tak bardzo nie odczuwa się potrzeby szybkiego manipulowania aparatem, jak na wodach Polesia. To też odkąd mam Leicę, nigdy nie byłam jeszcze zmuszona zrezygnować z jakiegoś motywu. Sprawność jej pozwala na najszybsze przygotowanie się do zdjęcia, ba — do całego szeregu zdjęć. Jest to nieocenione przy tak urozmaiconym i zmiennym krajobrazie poleskim. To też i dziś nie mniej owocnie od strzelby pracował mój aparat. Łup filmowy nie mniejszy niż myśliwski, a teraz powiększy się jeszcze. Ustają strzały, słońce już wysoko, a na południe umówione spotkanie myśliwych w t. zw. „kureniu", gdzie czeka nas ciepłe śniadanie i wódka.

Długo płynę kanałami, wśród gęstych sitowi, aż wreszcie wyjeżdżam na rozległe jezioro i ukazuje się mym oczom malownicza wysepka z maleńkim domkiem, który, jak w lustrze, cały odbija się w wodzie. Podjeżdżam. Zdaleka już słyszę głosy myśliwych. Stosy kaczorów piętrzą się u wejścia do kurenia.

Gajowi i służba przygotowują przy ognisku śniadanie. Zjechało się kilku rybaków, czyszczą ryby na „uchę". Jeden z nich, brodaty starzec o biblijnym typie, naprawia sieci. Czasem spojrzy wzrokiem pełnym nieufności na wygalowanego strzelca, którego przywiózł jeden z zagranicznych gości...

A więc znów motywy: rybak zajęty nad siecią, gajowi przy garnkach, pęki ubitych kaczorów i myśliwi. Teraz dyskutują nad rezultatem łowów, pozy niewymuszone, naturalne. Robię parę zdjęć, na szczęście nie zauważyli tego, nie zdążyli więc przybrać min zwycięskich gladjatorów, od których podobno, tak twierdzą starzy ludzie, pękają objektywy.

W kureniu panuje miły nastrój. Wszyscy zadowoleni z siebie, z życia, ze swoich strzelb i strzałów. Sypią się dowcipy, toczą dysputy o amunicji, wymiana zdań o broni. Jeden z myśliwych uskarża się na brak postępu i udoskonaleń w budowie broni myśliwskiej, przez ostatnie trzydzieści lat: „Prawie nic nowego nie zostało wprowadzone".

Jakże inaczej rzecz się przedstawia w dziedzinie fotografji! Trzydzieści lat temu: wielkie, niezgrabne pudełka, jeszcze pokraczniejsze statywy, ciemne objektywy, mało czułe płyty. Zaiste tylko cierpliwe i wytrzymałe na pozowanie typy można było fotografować. O naturze i prawdzie nikt nie marzył. Nie do pomyślenia byłaby wycieczka z aparatem na wody i moczary Polesia. A dziś! Często po pas w wodzie, a nawet czasem z poziomu wody, albo uczepiona jakiegoś pnia przybrzeżnego jedną ręką, drugą operując aparatem, mam możność utrwalić na błonie dosłownie momenty szybko ulatującego motywu. Poręczność Leici, wymiana objektywów, a z nią szybkość zdjęć, jest niezwykła. Wszak każda przejeżdżająca łódź rybacka, każde załamanie się fali jest godne uwiecznienia!

Chciałabym ujrzeć kogoś w pogoni za tematem żywym, ruchomym i tak trudnym do podejścia na naszej wywrotnej „duszehubce", z kamerą o przeciętnej wadze paru kilogramów, ze statywem, matówką i kasetami, z wiosłem w ręce...

A wiosłuje się na poleskich wodach stojąc. W rezultacie wyobrażam sobie zdziwienie rybaków, którzy, zamiast szczupaka, wyłowiliby tuzin płyt.

Ognisko zgasło. Z zachodu nadciągają groźne chmury. Będzie deszcz, a może nawet pierwsza, wiosenna burza. Z wieczornych łowów rezygnujemy i wracamy do domu z bogatym zasobem przeżytych wrażeń. Z tą tylko różnicą, że wspomnienia myśliwych zatrą się prędko, a przeżycia fotografa, utrwalone w kamerze, na świetnych krajowych taśmach Franaszka, pozostaną na długi przeciąg lat dokumentem czaru.

ZOFJA CHOMĘTOWSKA

Z POLOWANIA NA „POPULARNEGO" ROGACZA

Wieczór szybko się zbliżał. Las, skąpany w złocistych promieniach zachodzącego lipcowego słońca, zaczął się kłaść do snu. Okropny był to dzień. Upał nieznośny, komary pokłuły mnie niemiłosiernie do krwi. Z obrzękłej twarzy i rąk sączyła mi się wąskiemi strużkami krew. Spojrzałem na zegar — dochodziła godzina ósma. Obolały i zmęczony długotrwałem opędzaniem od atakujących bezustannie komarów, wstałem cicho z za gęstego krzaka olszyny, nie chcąc płoszyć pasącej się w pobliżu sarny, i poszedłem naprzełaj przez moczary w kierunku domu.

Wkrótce niebo pokryło się ciężkiemi chmurami, zapowiadającemi nieuniknioną burzę. Byłem zmęczony i chciałem odpocząć. Usiadłem na pniu w pobliżu młodego zagajnika, odpędzając dymem z papierosa wściekle atakujące mnie komary. Wtem w zagajeniu zaszeleściło. Kilka szybkich skoków i przedemną w odległości 20 kroków stanął wspaniały rogacz. Siedziałem bez ruchu, jak skamieniały, oceniając tylko wzrokiem nasadę głowy rogacza. Rzadki i piękny był to okaz. Parostki dobrze uperlone, niepormiernie wysokie i ciekawie zaokrąglone do tyłu nasady głowy, analogicznie jak u kozicy. Następnie rogacz zrobił ostry zwrot w tył, parę skoków i znikł mi z oczu, kryjąc się w gęstym lesie.

Był to niewątpliwie ten tak zwany „popularny".

W pobliskiej okolicy utrzymywał się od dwóch lat mocny rogacz. Zjawiał się on zawsze w łowiskach oddalonych od siebie nieraz po kilkanaście kilometów wówczas, gdy najmniej go się spodziewano. Rogacza tego widziano wszędzie i znano go już tak dokładnie, że wkrótce zdobył sobie miano „popularnego". Sąsiedzi łowisk z jakimś dziwnym uporem czatowali, a nawet strzelali już do niego. Rogacz jednak uchodził bezkarnie, jak gdyby kpił sobie z myśliwych. Z czasem „popularny" stał się przedmiotem pożądania wszystkich okolicznych myśliwych, do których i ja jako ostatni się zaliczałem. Za wszelką cenę postanowiłem rogacza tego zdobyć.

Następnego dnia czatowałem na niego w młodniku, przy którym zasianych było kilka morgów seradeli, gdzie przypuszczalnie „popularny" wychodził. Siedziałem w tem miejscu cztery dni z rzędu. Piątego dnia, kiedy się już dobrze ściemniło, „popularny" wyszedł majestatycznym krokiem na seradelę, węsząc niespokojnie.

Postąpił kilka kroków w moim kierunku i nagle skamieniał. Nagły zwrot, parę basowych szczeknięć i „popularny" znajdował się już w gęstym lesie. Dostał wiatru.

Od tego dnia moja żądza zdobycia „popularnego" stała się jeszcze silniejsza. Zbudowałem sobie w następnym dniu z okrąglaków, w konarze rozłożystej sosny, ambonę, na której siedziałem i czatowałem po kilka godzin dziennie zrana i wieczorem, bez względu na pogodę, z górą przez cały tydzień. Ósmego dnia pod wieczór zaczął rosić drobny deszcz. Pole widzenia przysłaniała mi lekka mgła. Po dwugodzinnem oczekiwaniu wyszedł wprost z pod mojej ambony słaby szóstak, do którego nie strzeliłem, jednak całą moją uwagę skupiłem na pasącym się spokojnie rogaczu. Po kwadransie rogacz podniósł niespokojnie łeb do góry, pilnie wpatrując się w gęsty zagajnik. Poszedłem za jego wzrokiem i zobaczyłem na skraju lasu „popularnego", który następnie w kilku susach dopadł do pasącego się rogacza. Rozpoczęła się szalona gonitwa po seradeli. Wreszcie ku mej rozpaczy zniknęły obydwa rogacze w pobliskim młodniku. Następuje chwila nerwowego oczekiwania, podejrzany trzask łamanych gałęzi i „popularny" już sam wyszedł z zagajnika. Zachwycony harmonijną budową ciała i pięknemi parostkami „popularnego", obserwuję go przez dłuższą chwilę, zwlekając ze strzałem. Dopiero dotknięcie ręką zimnej stali sztucera oprzytomniło mnie.



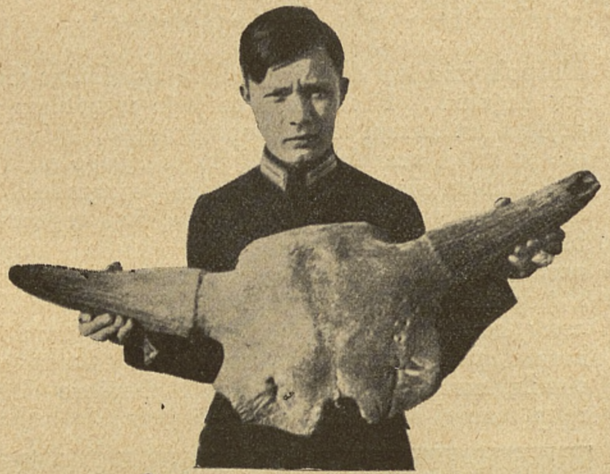
Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz

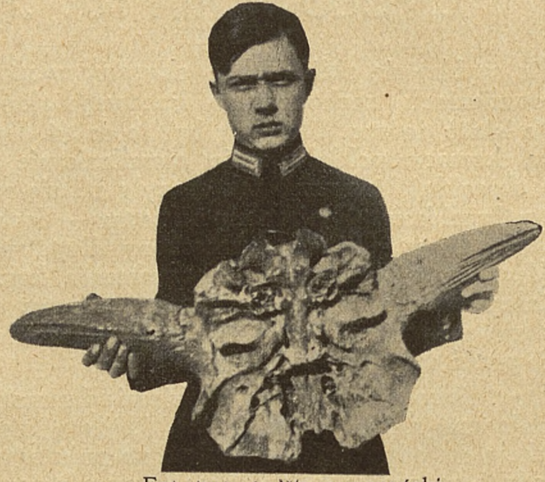
Podniosłem Mauzer do oka, mierząc starannie...

Ciszę przerwał ostry, krótki huk strzału i „popularny" osunął się na ziemię martwy. Kilka minut później stałem już nad zabitem rogaczem.

Trzynaście dni niepewności, trudu, zimnej krwi i cierpliwości zostały wreszcie uwieńczone wspaniałemi i rzadkiemi parostkami. Jednak trudy, które przeżywa wyznawca świętego Huberta, w porównaniu z emocjami, jakich doznaje, są niczem.

FELIKS POLINAREK





Czaszka znaleziona w Trzciańcu

Fot. kpt. J. Wł. Kobylański

TRZY WYKOPALISKA

Dużo jeszcze skarbów, interesujących paleozoologa, zoologa i kulturalnego myśliwego, kryje w sobie ziemia, ale sporo również dokonano już ciekawych i cennych wykopalisk, które, zamiast spocząć pod należnym im dachem muzeum, przewalają się dosłownie po różnych kątach w zapomnieniu. I tak wartościowy często objekt wymyka się, ze szkodą dla nauki, z potrzebnej ewidencji. Wprawdzie od czasu do czasu donosi prasa codzienna o wykopaniu kości mamuta, rzadziej nosorożca, tam zaś tura, ale podaje przytem bardzo często niesamowite, bo na żadnej wiedzy nieoparte, twierdzenia.



P. Górski z wykopaną tyką jelenia

Wzmianki dokonywane przez ludzi światłych, rozumiejących wartość wykopaliska dla nauki, należą raczej do sporadycznych wyjątków. Reszta wykopanych przypadkowo, czy też przy sposobności jakichś poszukiwań archeologicznych lub geologicznych, albo też wypłókanych przez wodę kości i rogów, marnieje na miejscu, przy nieumiejętnem, brutalnem tak często wydobywaniu ich. Czasem przyniesiona do domu staje się zabawką dzieci, albo objektem sprzedaży wszystkiem handlującemu Żydowi.

Niejeden okaz, godzien szacunku i zachowania, poszedł na okładki widelców i noży. Inne znów wykopaliska pozostają wprawdzie w poszanowaniu u ich właścicieli, ale dla wiedzy i badań naukowych są niedostępne, chyba przypadek wydobędzie je na szersze forum.

Przypadkowo też, podczas włóczęgi mojej po kraju, natrafiłem na trzy wykopaliska. W domu Kolejowego Przysposobienia Wojskowego w Gdyni, przy ul. Jana z Kolna, wisi na ścianie jednego z pokojów piękne wykopalisko łopaty łosia, posiadającej 15 pasemek. Łopata ta jest, niestety, mocno uszkodzona, pęknięta u nasady pierwszych czterech pasemek, co widoczne jest na fotografji, jak również ma wyżarty otwór w okolicy 7 i 8 pasemka, licząc od lewej strony. Róg ten wykopali robotnicy 23 czerwca 1936 r. w uroczej kaszubskiej Chylonji koło Gdyni, w torfowisku, na głębokości 2,5 m, przy ziemnych pracach kolejowych. (Patrz fot. w Nr 12 „Ł. P.", str. 383).

Drugie wykopalisko, dokonane ponoć przed stu laty, to tyka silnego jelenia czternastaka, gruba i masywna, pięknie uperlona. Według orzeczenia inż. Tadeusza Śliwińskiego, jest to zrzut jelenia górskiego. Wykopalisko to jest dziś w posiadaniu pp. Górskich, właścicieli ziemskich w Świacku, ziemi grodzieńskiej.

Będąc przed laty na polowaniu w lasach dobromilskich, dowiedziałem się, że b. poseł inż. Jakób Pawłowski, zamieszkały w Dobromilu, kupił od chłopa dużą czaszkę zwierzęcą. Czaszka ta dostała się do rąk wieśniaka w następujący sposób: pamiętne wylewy rzek z wiosną 1928 r. zaznaczyły się też we wsi Trzcianiec, powiatu dobromilskiego, gdzie wezbrał miejscowy potoczek. Po ustąpieniu wody znalazł jeden z trzciańskich chłopów pod wymulonym brzegiem całkowicie skamieniałą czaszkę, zachowaną dobrze, z rogami o nieco odłamanych końcach. Oczywiście rogi te nie mają powłoki rogowej, są to tylko skamieniałe możdżenie.

Pomiary tej czaszki są następujące: Odległość między końcami możdżeni wynosi 90 cm. Odległość od nasady do nasady rogów wynosi 36 cm., długość każdego rogu 28 cm, zaś obwód rogu w najgrubszem jego miejscu, t. j. przy nasadzie, wynosi 32 cm.

Dane te podaję do wiadomości osób powołanych, celem ustalenia przedewszystkiem do jakiego zwierzęcia ta czaszka należy.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI

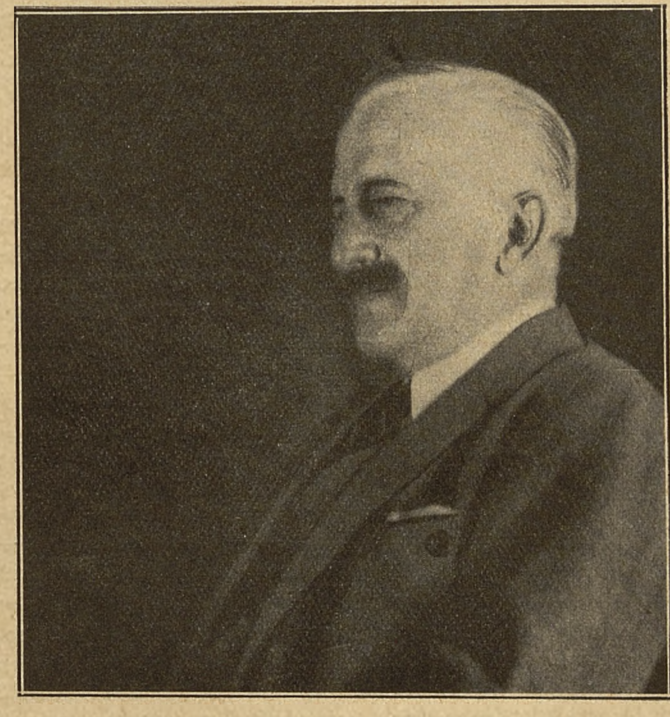
Z ŻAŁOBNEJ KARTY

JEDEN Z OSTATNICH.

(Wspomnienie o ś. p. Aleksandrze Hr. Ilińskim-Kaszowskim).

Odszedł jeden z ostatnich przedstawicieli starszego pokolenia myśliwych kresowych. Zmarł Aleksander hr. Iliński-Kaszowski.

Wilno na długie lata zachowa w pamięci Jego rasową i piękną sylwetkę. Grono Jego przyjaciół i towarzyszy z pod znaku św. Huberta czcić będzie zawsze pamięć Wielkiego Myśliwego, który był encyklopedją wiadomości łowieckich, gorącym propagatorem etyki myśliwskiej, mądrym a wyrozumiałym mentorem młodego pokolenia. Znawca wszelkich arkanów wiedzy łowieckiej, świetny strzelec, rasowy — bez cienia blagi — *causeur* i gawędziarz myśliwski, niezrównany, dowcipny i uprzejmy towarzysz — Zmarły łączył w sobie niefrasobliwą, wiecznie młodą pogodę ducha z gruntowną i głęboką wiedzą.



Ś. p. Aleksander hr. Iliński-Kaszowski

We wszelkich sprawach łowieckich był bezapelacyjną wyrocznią: — do niego zwracano się w wypadkach zawilszych, zwłaszcza gdy chodziło o pewne subtelności z dziedziny etyki myśliwskiej. Wymownem świadectwem Jego autorytetu było powierzenie Mu funkcyj prezesa Sądu Łowieckiego przy Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej w Wilnie.

Ś. p. Bolesław Świętorzecki w swem ostatniem, niedokończonem dziele p. t. „Myślistwo na Kresach Wschodnich" nazwał ś. p. Kaszowskiego „największym u nas znawcą puszcz, lasów i zwierzostanów". W wyrazach tych nie było cienia przesady. Jak Polska długa i szeroka, nie było większego lub ciekawszego łowiska, w któremby Zmarły nie polował. Znane mu były również niemal wszystkie łowiska w granicach dawnej Rzeczypospolitej, obecnie zakordonowe — knieje Litwy, Inflant, Witebszczyzny, Mińszczyzny, Ukrainy... Nie rozstając się przez całe życie z sumiennie prowadzonym dziennikiem myśliwskim, zapisywał w nim skrupulatnie wszelkie cyfry i daty dotyczące zwierzostanów, ubitej zwierzyny itp. we wszystkich łowiskach, w których polował. To też dziennik myśliwski Zmarłego stanowić będzie dla potomności skarbnicę materjałów dla dziejów polskiego łowiectwa. (Na podstawie tego dziennika ś. p. B. Świętorzecki opracował cały rozdział wspomnianego wyżej dzieła).

Jeżeli o cyfrę przeżytych lat chodzi — ś. p. Kaszowski nie umarł młodo. Lecz Jego wyniosła, wyprosowana postać, rzeźkość ruchów, wytrzymałość na niewygody najuciążliwszych rodzajów polowań, wiecznie młode usposobienie i niezmiennie dobry, iskrzący się wytwornym dowcipem humor — wszystko to sprawiało, że tylko wtajemniczeni podejrzewali, iż bodaj już ósmy krzyżyk zaciążył Mu na ramionach. To też śmierć Jego zrobiła w gronie przyjaciół i towarzyszy wrażenie ciosu nagłego i niespodziewanego. Opustoszał stolik w cukierni wileńskiego Sztrala, gdzie ś. p. Kaszowski zasiadał regularnie w godzinach południowych do pogawędki ze starymi myśliwcami... Nie ujrzymy już Jego pięknej sylwetki na tle ośnieżonych kniej Wileńszczyzny i Polesia — nie będziemy już podziwiali Jego strzałów mistrzowskich...

Odszedł jeden z ostatnich Mohikanów... Przerażająco luźnie wygląda dziś zastęp starych myśliwych kresowych — jeden za drugim odeszli w zaświaty: Wacław Świętorzecki, Olgierd Świda, Stanisław Wańkowicz, Bolesław Świętorzecki, Aleksander Iliński-Kaszowski... Wciąż cieniej i wątlej przędzie się złota nić tradycji, łącząc naszą teraźniejszość z niepowrotnemi czasami wielkich łowów i wielkich myśliwych.

M. K. P.

Ś. P. JAN HR. TYSZKIEWICZ.

Bolesnem echem w całej Polsce rozległa się podana przez prasę codzienną wieść o tragicznej śmierci w katastrofie samolotowej ś. p. Jana hr. Tyszkiewicza z Waki Murowanej. Niemal wszystkie czasopisma polskie umieściły dłuższe nekrologi, poświęcone pamięci tej wyjątkowo pięknej, szlachetnej i rycerskiej postaci. W wiązance serdecznych wspomnień, rzuconej, niby młode kwiaty wiosenne, na świeżą mogiłę Zmarłego, nie może zabraknąć głosu myśliwego.

Ś. p. Jan hr. Tyszkiewicz — były poseł na Sejm wielki, naprawdę czynny działacz społeczny, wielki filantrop, niepodległościowiec i żołnierz, kawaler orderu Virtuti Militari — był również wielkim myśliwym. Wśród nawału prac różnorodnych — o państwowem nieraz znaczeniu — miał Zmarły dla sprawy łowieckiej głębokie i serdeczne zrozumienie. Jeden z pierwszych stanął w szeregach utworzonego przed 12-tu laty Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich (obecnego Oddziału P. Z. Ł. w Wilnie) będąc członkiem-założycielem tego Towarzystwa i, aż do fatalnego dnia przedwczesnej śmierci, żarliwym propagatorem ideowego łowiectwa. W położonej o miedzę od miasta Wilna Wace Murowanej postawił hodowlę zwierzyny na wysokim, wręcz bezkonkurencyjnym poziomie, zaś w lasach Borsukowiny (dobra Wołożyńskie) zaprowadził prawdziwą hodowlę głuszców. „Głuszce wołożyńskie" miały w Polsce całej, a nawet poza jej grani-

cami, chlubną i zasłużoną renomę. Takiego skupienia wspaniałych i świetnie urządzonych tokowisk nie było chyba w całym kraju!... Miała Borsukowina tokowiska „szkolne" (wedle świetnego określenia Zmarłego), t. j. łatwe i suche, na których mogło się podchodzić głuszca w pantoflach nocnych, miała również — ciężkie i bagniste. Szczęśliwy gość myśliwy zaproszony do Borsukowiny miał do wyboru najróżnorodniejszą skalę wzruszeń — od wygodnego podejścia po suchych wrzosach i możności obserwowania i fotografowania tokującego ptaka, aż do ciężkich trudów mozolnego podchodu po bagnie, przez wykroty i łozy. Polowanie na głuszce w Borsukowinie było obwarowane szeregiem ostrych a słusznych przepisów: — pod groźbą utraty zaproszenia na sezon przyszły nie wolno było nietylko spacerować po tokowisku, ale wogóle zapuszczać się w głąb tokowiska; myśliwy był zaopatrywany w busolę, by po strzale nie błądził po lesie, płosząc milczące ptaki... O niebywałych osiągnięciach hodowli głuszców wołożyńskich niech świadczy cyfra: — dopuszczalny sezonowy odstrzał tokowików sięgał setki!... Odstrzał ten nigdy zresztą, o ile wiem, nie został osiągnięty.

O sentymencie myśliwskim ś. p. Jana Tyszkiewicza niech świadczy taki fakt. Przed kilku laty, a było to w parę miesięcy po Jego małżeństwie, spotkałem Go wiosną w Wilnie, na ulicy. Zaczął mi opowiadać o swych świeżych wrażeniach z polowań wiosennych na cietrzewie na Polesiu.

— Nie przypuszczałem — mówił — że mamy jeszcze w Polsce takie wspaniałe toki cietrzewi. Proszę sobie wyobrazić, że tuż koło mojej budki tokowało na dobry strzał szesnaście kogutów.

— A ile hrabia zabił? — rzuciłem niedyskretne pytanie.

Uśmiechnął się:

— Żadnego... Byłem w towarzystwie żony i nie chciałem jej robić przykrości. A zresztą był to tak wspaniały, niezapomniany widok, iż nic nie żałuję, że nie strzelałem...

Czyż w tych prostych słowach nie zawarł się prosty a subtelny stosunek prawdziwego, rasowego myśliwego do żywej przyrody?

*

Wieść o przedwczesnym, tragicznym zgonie ś. p. Jana hr. Tyszkiewicza uderzyła, jak grom z jasnego nieba. Poprostu nie chciało mi się wierzyć ponurym słowom nekrologów w czarnych obwódkach... Jak ciężko pogodzić się z myślą, że już nigdy nie ujrzymy Jego szlachetnej, pięknej postaci, że nie usłyszymy Jego ujmującego, tchnącego rozumem i dobrocią głosu... W Zmarłym straciła Ojczyzna ofiarnego i dzielnego obywatela i żołnierza — łowiectwo polskie straciło gorliwego rycerza św. Huberta i opiekuna.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

M. K. P.

*

Wspomnienie o ś. p. Stanisławie hr. Zamoyskim z Trzebienia, który jako pilot awjonetki własnej zginął w tej samej katastrofie, zostanie zamieszczone w następnym numerze. Prosimy przyjaciół Zmarłego o Jego fotografję i szczegóły z życia. (Przyp. red.).

UBEZPIECZENIA MYŚLIWYCH

Radość życia — to beztroska. Dążąc więc do 100 procentowej przyjemności na polowaniu, należy zabezpieczyć się od odpowiedzialności, jaką wkłada na myśliwego ustawa łowiecka.

Pamiętajmy, że w myśl ustawy myśliwy odpowiada całym swym majątkiem i dochodami obecnemi i przyszłemi za wszelką szkodę, wyrządzoną na polowaniu. Odpowiada nietylko za siebie osobiście, lecz i za zatrudnionych przez siebie ludzi, jak również za straty wyrządzone przez jego psy.

Ten problem, niepokojący myśliwego na każdym kroku, usuwa ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej.

Ubezpieczenie takie można zawrzeć za pośrednictwem Komitetu Opieki nad najbiedniejszemi mieszkańcami Warszawy „Osiedle" w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych.

Wszelkich informacyj udziela w Warszawie Komitet „Osiedle", ul. Marszałkowska 153, tel. 6-77-74, poza Warszawą — Oddziały Wojewódzkie Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych.

Zaznaczyć przytem należy, że dochód z ubezpieczeń jest przeznaczony na pomoc najbiedniejszym dzieciom, polisa więc otrzymana za pośrednictwem Komitetu „Osiedle" chroni myśliwego od odpowiedzialności cywilnej za wypadki podczas polowania, dając jednocześnie zadośćuczynienie jego uczuciom humanitarnym, co nie wpływa jednak na podrożenie opłat za ubezpieczenie.

Panowie Myśliwi, ubezpieczajcie się za pośrednictwem Komitetu „Osiedle" w Warszawie, Marszałkowska 153, tel. 6-77-74.

Lista Ośrodków Zbiórki Złomu Myśliwskiego w Warszawie

Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka komunikuje, iż dla wygody myśliwych, prowadzących indywidualnie lub grupowo w kółkach zbiórkę wystrzelonych łusek na Fundusz Obrony Narodowej, porozumiała się ze składami broni w stolicy, które jako najczęściej odwiedzane przez myśliwych, zgodziły się przyjąć na siebie rolę składnic złomu myśliwskiego, ośrodków tej zbiórki.

W łączności z powyższem prosimy myśliwych warszawskich kierować odtąd zebrane wystrzelone łuski do następujących firm:

1) „Łowiec", Widok 22.
2) Zakłady Amunicyjne „Pocisk" ,Oddział, Trębacka 10.
3) J. Sosnowski — Krakowskie Przedmieście 7.
4) R. Strabużyński — Królewska 31.
5) R. Torchalski — Trębacka 7.

Konkursowe strzelanie do rzutków i rogacza Bydgoskiego Towarzystwa Łowieckiego i Bydgoskiej Rady Łowieckiej

W dn. 18 maja r. b. Bydgoskie Tow. Łowieckie urządziło na strzelnicy własnej swe doroczne konkursowe strzelanie do rzutków i rogacza. W strzelaniu kulą odstrzelano 103 serje po 3 strzały, do rzutków 73 serje po 20 rzutków.

W strzelaniu kulą do rogacza na 100 metrów — bez lunety — zdobyli na 30 punktów możliwych:

1 miejsce: Nasiadek Florjan — 28 pkt. — nagroda odstrzał rogacza
2 „ Dr Siemiątkowski — 27 „ — kordelas
3 „ Major Chmielewski — 27 „ — odstrzał lisa
4 „ Rekowski — 26 pkt. — 100 nabojów ufund. Państw. Wytw. Prochu w Pionkach.
5 „ Niewitecki — 25 „ podręcznik „Łowiska Pomorskie".

Pierwsze trzy nagrody zostały ufundowane przez B. T. Ł.

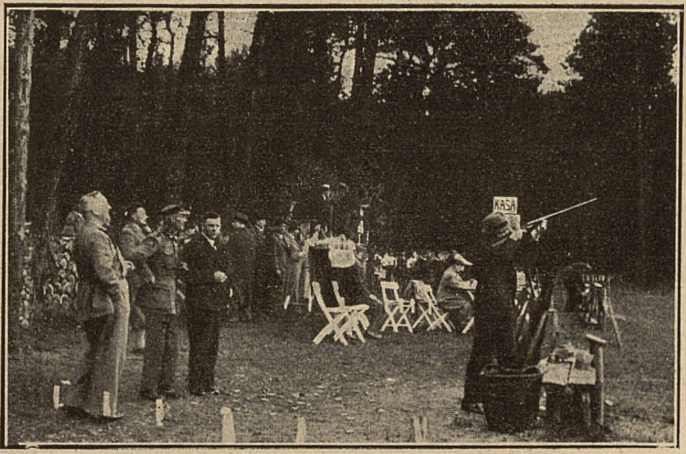
W STRZELANIU DO RZUTKÓW ZDOBYLI NAGRODY:

I. W klasie A.

1) Leśniczy Olejniczak — 20/20 — nagr. puhar wędrowny ufundowany przez inż. Szymańskiego i futerał skórzany ufundowany przez p. Starostę Suskiego.
2) Leśniczy Kolańczyk — 20/20 — nagroda manierka obita skórą (ufund. Pom. Woj. Rada Łow.)
3) Kędzierski Leon — 19/20 — 200 nabojów (fund. Państw. Wytwórni Prochu w Pionkach).
4) And. Soboczyński (jun.) — 18/20 egz. „Łowiska Pomorskie".
5) Henryk Weynerowski — 18/20 „ „ „

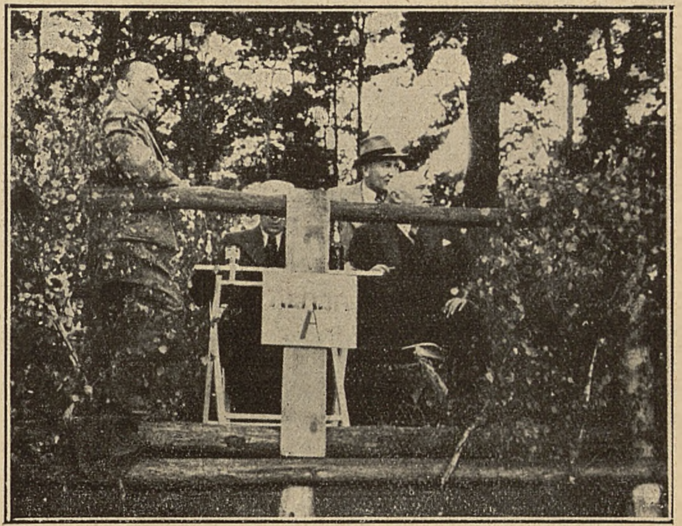
II. W klasie B.

1) Preiss — 19/20 — nagroda p. Prezydenta Barciszewskiego — papierośnica srebrna
2) Mec. Szeszycki — 19/20 — 200 nabojów śrutowych — nagroda Państw. Wytwórni Prochu w Pionkach.
3) Kudła — 18/20 — komplet dla wyżła — nagroda firmy „Hubertus".
4) Gen. Grzmot-Skotnicki — 16/20 — egz. „Łowiska Pomorskie".
5) Bautz — 15/20 — egz. „Łowiska Pomorskie".



Na strzelnicy B. T. Ł. wśród kniei.

Po ukończeniu strzelania prezes B. T. Ł. radca Mencel ogłosił wyniki strzelań, podziękował fundatorom, władzom, p. Staroście, p. Generałowi, p. Prezydentowi, Komisji imprezowej, sędziom, prasie za poparcie i propagowanie etyki myśliwskiej, wszystkim gościom i członkom za udział w imprezie i wręczył następnie nagrody, przyczem poprosił Łowczego Rady Łowieckiej, p. Wodzińskiego z Kusowa, o wręczenie nagród ufundowanych przez Pomorską Wojew. Radę Łowiecką P. Z. Ł.



Na ambonie sędziowskiej.

Wkońcu prezes radca Mencel zaapelował do zdobywców pierwszych nagród w strzelaniu do rzutków, by wzięli udział w ogólno-polskich zawodach do rzutków, które urządza Państw. Wytwórnia Prochu w Pionkach w dniach 27, 28 i 29 maja r. b. obiecując im udzielenie z ramienia B. T. Ł. pomocy, i zamknął strzelania.

I-sze Wojewódzkie Zawody Strzelecko-Myśliwskie w Lublinie

4 czerwca r. b., staraniem Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, odbyły się na wojskowej strzelnicy garnizonowej, na Czechówce w Lublinie, przy zmiennej pogodzie, konkursowe zawody myśliwskie.

Konkurs obejmował: a) strzelanie kulowe do rogacza i b) śrutowe do rzutków w 2 klasach — A i B. Pozatem dla zawodników, którzy nie uzyskali żadnej nagrody w klasie B, odbył się konkurs pocieszenia.

Zawodami kierował powołany przez Radę Wojewódzką Komitet Wykonawczy. Do Komisji Sędziowskiej zaproszono 3 komplety sądzące, po 3 sędziów każdy, pod przewodnictwem ogólnym Sędziego głównego.

Zawody otwarto o godzinie 9 rano, w obecności Dowódzcy Okręgu Korpusu II, generała Mieczysława Smorawińskiego i Prezydenta miasta Lublina, pana Bolesława Liszkowskiego.

Po oddaniu honorowych strzałów do rogacza przez obu Panów Reprezentantów władz, zawody otwarto.

W zawodach brało udział 64 zawodników

	Nagroda	Ofiarodawca	Zdobywca
		a) Strzelanie do rogacza	
I	żeton złoty	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Modzelewski Wac.
II	„ srebrny	„	Sontag Jan
III	„ srebr. oks.	„	Bojanowski Andrz.
IV	„ bronzowy	„	Sulczyński Stanisł.
		b) Strzelanie do rzutków klasa A	
I	wielki puhar kryształowy	Prezes Rady Jan Koźmian	Modzelewski Wac.
II	neseser podróż.	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Wolf Karol
III	wielki puhar bronzowy	Ofic. Koło Myśliw. garn. Lublin	Drecki Kazimierz
IV	statuetka „Łoś"	Lubel. T-wo Myśliw.	Bojanowski Andrz.
V	żeton złoty i 100 ładunków	Lub. Woj. Rada Łowiec. P. W. P. „Pionki"	Domański Józef
VI	żeton srebrny	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Jaźwiński Konst.
VII	żeton bronzowy	„	Godziemba Tad.
		Klasa B	
I	puhar srebrny	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Andrycz Włodzim.
II	mały puhar kryształ.	WP. Zygm. Jaźwiński	Skalski Mieczysł.
III	karabinek sportowy	WP. Kazimierz Drecki	Hann Miecz. mjr.
IV	torba myśliws.	Koło Łow. Skar. Lublin	Gołębiowski Tom.
V	mufka myśliws.	Koło Myśl. 9 baon panc. Lublin	Kryński Tad. inż.
VI	butelka myśl.	WP. G. Mazurkiewicz	Arcisz Tad. kpt.
VII	trąbka myśliw.	WP. Józef Tomicki	Krychowski Miecz
VIII	żeton złoty i 100 ładunków	Lub. Woj. Rada Łowiec. P. W. P. „Pionki"	Żółtowski Emil
IX	żeton srebrny i 50 ładunków	Lub. Woj. Rada Łowiec. P. W. P. „Pionki"	Mączyński Ludwik
X	żeton bronzowy	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Heininger Zyg. inż.
	Nagroda dodatkowa dla najlepszego zawodnika z miasta Lublina — puhar	Prezydent m. Lublina	Kryński Tad. inż.
		c) Konkurs pocieszenia	
I	zegar na biurko	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Sulczyński Stanisł.
II	termos	WP. Mieczysł. Hatys	Kobyliński Tomasz
III	żeton złoty i 50 ładunków	Lub. Woj. Rada Łowiec. P. W. P. „Pionki"	Hatys Mieczysław
IV	żeton srebrny	Lub. Woj. Rada Łowiec.	Stalewski Kazim.
V	żeton bronzowy	„	Sontag Jan

Wieczorem tegoż dnia, w sali herbowej oficerskiego kasyna garnizonowego, Pan Wojewoda Lubelski, w obecności członków Rady Woj., Komitetu, Komisji Sędziowskiej i licznie zebranych gości, doręczył nagrody zwycięzcom konkursu. Z kolei Pan Prezydent miasta Lublina doręczył ufundowaną przez siebie nagrodę najlepszemu zawodnikowi w klasie B do rzutków z miasta Lublina. Uroczystość rozdania nagród zakończyła się okolicznościowem przemówieniem Pana Wojewody z życzeniami dalszych jaknajlepszych wyników w strzelaniu dla członków Polskiego Związku Łowieckiego, poczem w kasynie odbył się wspólny obiad przy udziale kilkudziesięciu uczestników zawodów. Nastrój panował myśliwski!



Jan Sokołowski: Drop *(Otis tarda L.)* w Polsce. Państwowa Rada Ochrony Przyrody, Nr 51, Kraków 1939. 51 stron, 16 ryc.

Na treść najnowszej pracy doc. Sokołowskiego złożyły się dwie rzeczy: dane statystyczne zebrane drogą ankiety i obserwacje autora nad dropiami w naturze. Przy pomocy kwestjonarjusza rozesłanego za pośrednictwem „Łowca Polskiego" i „Łowca", w kilku wypadkach posiłkując się jeszcze korespondencją, autor zebrał wiadomości o miejscach występowania i stanie liczebnym dropia w Polsce. Zebrane dane, jak wszystkie wyniki ankiet, nie mogą uchodzić za zupełnie ścisłe, sam autor podkreśla ten moment, lecz i tak objaśniają nam dość dokładnie o stanie obecnym dropia. Na podstawie tych materjałów, w woj. poznańskiem sprawdzonych przez autora osobiście, dowiadujemy się, że dropie tworzą w Polsce 17 skupień, rozrzuconych w 5 województwach (poznańskie, lubelskie, białostockie, poleskie, tarnopolskie). Jedno z nich, w woj. tarnopolskiem (i jedyne w tem województwie), być może obecnie nie istnieje już i stanowisko to należy uważać za niepewne. Ilość sztuk w całej Polsce wynosi około 400, z czego około 300 sztuk przypada na woj. poznańskie. Naogół stan ilościowy dropi na poszczególnych stanowiskach zmniejsza się, oprócz woj. poznańskiego, gdzie zauważono nawet w niektórych miejscowościach przybytek. Autor, chcąc przedstawić czytelnikowi jaki był stan dropia dawniej, a jaki jest obecnie, podaje przegląd literatury faunistycznej i stwierdza zniknięcie dropia w woj. łódzkiem, warszawskiem (około r. 1925) i wołyńskiem (około 25 lat temu). Zdaje się, że drop wyginął również w woj. lwowskiem. Stanowiska obecne, jak również i miejsca, w których dawniej się gnieździł, zostały przedstawione na mapce. Szkoda, że autor nie podał przeglądu całej literatury, zawierającej wiadomości o dropiu (brak Dzieduszyckiego, Zedlitza), a przedewszystkiem, że nie uwzględnił istniejących jeszcze na początku tego stulecia stanowisk w pow. pińskim na Polesiu, przez co i mapka nie jest kompletna.

Ta część publikacji, w której omówiona została biologja dropia, przedstawia się niemniej interesująco. W sposób zajmujący przedstawia autor metodę dokonywania swych obserwacyj nad życiem dropi, opisuje barwnie tok wiosenny, ilustrując go fotografją i dwoma doskonałemi rysunkami. Ciekawe zjawisko, że tak płochliwy i wrażliwy na niepokojenie go ptak, jakim jest drop, najliczniej występuje właśnie nie na rzadko zaludnionych Kresach Wschodnich, lecz w Wielkopolsce, tłomaczy autor tem, że tam drop znajduje dobre warunki odżywiania się i duże przestrzenie pól niepoprzecinanych osiedlami ludzkiemi. Gleba dobrze uprawiona wzgl. bardzo urodzajna jest koniecznym warunkiem dla dropia. Z roślin uprawnych wielką siłę atrakcyjną dla tego ptaka stanowi rzepak. Za zmniejszanie się stanu ilościowego dropia czyni autor odpowiedzialnym brak spokoju, niszczenie gniazd przez ludzi, w pewnej mierze i słynną zimę 1929 roku, ale ogólnie biorąc przedewszystkiem parcelację.

Zastanawiając się nad ochroną dropia, autor dochodzi do wniosku, z którym niezupełnie się zgadzam i zapewne wielu myśliwych nie zgodzi się również. Autor twierdzi bowiem, że tylko zupełny zakaz polowania może uratować dropia, że skutki istniejącego od r. 1930 zakazu wydały już widoczne wyniki i wreszcie zaprzecza jakoby myśliwi interesowali się zwierzyną

tylko ze względu na polowanie; „Na szczęście większość myśliwych, oprócz przyjemności polowania, ceni również przyjemność estetyczną, jaką daje sam widok tego pięknego ptaka". Argument, że dotychczasowa zupełna ochrona dała swe wyniki nie jest przekonywający, nie dowodzi to bowiem, by zupełna ochrona była najlepszym środkiem, choć niewątpliwie jest dobrym. Mamy przykład na łosiu, głuszcu, że ochrona z dozwolonym odstrzałem daje piękne wyniki. Nie zaprzeczam, że są ludzie, których cieszy sam widok dropia, ale przecież lepiej będzie, jeżeli razem z nimi zechą opiekować się dropiem również i tacy, dla których drop przedstawia wartość jako objekt łowiecki. Ochronę zupełną*) dropia bez możliwych wyjątków, porównałbym z hodowlą złotych rybek, ochronę z dopuszczalnym (z wszelkiemi możliwemi ograniczeniami) odstrzałem — z gospodarstwem karpiowem. Które znajdzie więcej amatorów?

ANDRZEJ DUNAJEWSKI.

Nakładem tygodnika „Rynek Metalowy i Maszynowy" w Poznaniu (ul. Wielka Nr. 10) ukazała się w popularnem, źródłowem opracowaniu Tadeusza Klerykowskiego broszura p. t.: *„Broń i Amunicja"*. Broszura ta jest zwięzłem ujęciem całokształtu przepisów i norm, aktualnie obowiązujących na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej, dotyczących wyrobu, handlu, przewozu, noszenia i zbywania broni, amunicji i materjałów wybuchowych.

Aczkolwiek minęło już 5 lat od wejścia w życie jednolitych polskich przepisów prawnych, dotyczących broni i amunicji, to jednak znajomość ich nie jest w szerokich warstwach naszego społeczeństwa jeszcze dostateczna i należycie opanowana, czego dowodem są chociażby powtarzające się nadal licznie notowane kolizje i kary administracyjne, a nawet sądowe.

Popularny, a mimo to źródłowy, wykład tej broszury pozwoli każdemu posiadaczowi broni dostatecznie i szczegółowo zapoznać się z obowiązującemi przepisami prawnemi z tej dziedziny, przyczem nie jest to sucha treść prawa o broni, lecz każdy artykuł jest zaopatrzony szczegółowym i wyczerpującym komentarzem. Znaleźć tu można wszystko, co na tym odcinku może zainteresować myśliwego, strzelca lub sportowca. Zestawiono bowiem w treści tej broszury szczegółowy opis prawa o broni, amunicji i materjałach wybuchowych, zawartych w rozporządzeniu Prezydenta R. P. z dnia 27 października 1932 r. oraz przepisów wykonawczych, wydanych rozporządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 23 marca 1933 r. o pozwoleniu na broń do użytku osobistego, oraz o nabywaniu i zbywaniu tej broni, tudzież uwzględniono w tekście przepisy i odsyłacze do poszczególnych postanowień.

Niska cena tej broszury (75 gr.) przyczyni się niewątpliwie do spopularyzowania znajomości prawa o broni wśród jej posiadaczy i wpłynie na zmniejszenie się liczby wykroczeń i kar, wynikających przeważnie z niedostatecznego opanowania przepisów administracyjnych.

S. M.

*) Ochrona zupełna jest pomysłem chybionym. Vide w tej kwestji uwagi w artykule p. t. „Śrutem czy papierem" — „Łow. Pol." Nr. 2 z 1939 r. (Przyp. Red.).

PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW RAS NIEMIECKICH

W roku bieżącym, około połowy września, Klub Hodowców wyżła niemieckiego organizuje na Kujawach próby polowe psów ras niemieckich.

Bliższe szczegóły będą zakomunikowane dodatkowo.

ROZMAITOŚCI

DAR PRZEMYSŁOWCA BELGIJSKIEGO NA FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ W POLSCE

(zet.) Jak się dowiadujemy, firma produkująca śrutowe bronie myśliwskie Paul Scholberg w Liège zwróciła się do swego przedstawiciela w Polsce, p. Wilhelma Ziegenhirte, ażeby za jego pośrednictwem złożyć dar na F. O. N., w oparciu o uczucie sympatji, jakie Belgowie żywią dla Polski.

Oto list tej firmy w dosłownem brzmieniu:

Szanowny Panie.

Opierając się na miłych stosunkach, wiążących mnie z WPanem, czuję się w obowiązku ujawnić Mu projekt, z którym noszę się od pewnego czasu.

WPanu zapewne znane są uczucia sympatji Belgów dla Polaków. Postawa Kraju WPana w ostatnich wydarzeniach jedynie wzmocniła te uczucia. Pan Beck umiał wyrazić w swej mowie tę szlachetną i odważną postawę.

Dowiedziawszy się z gazet o „Funduszu Obrony Narodowej" w Kraju WPana i ja, w miarę mych możności, pragnę złożyć realny dowód uczuć, które żywię dla Jego Kraju, składając ze swej strony skromną ofiarę.

W tym celu pragnę przesłać WPanu 1 strzelbę, której, rozumie się, nie zarachuję, a sumę osiągniętą z jej sprzedaży, po odciągnięciu włożonych kosztów, cła etc, prosiłbym złożyć na „Fundusz Obrony Narodowej".

Strzelba, ta „Holland" kaliber 20 mod. 502, którą uważam za bardzo ładną. WPan zechce ją sprzedać za cenę, jaką będzie uważał za stosowną, lecz zdaje mi się, że cena winna być postawiona w ramach możliwych do osiągnięcia, aby uniknąć w tym kierunku trudności, jak również w celu uniknięcia zwłoki.

Bardzo cieszyłbym się, gdybym otrzymał od WPana kilka słów w tym względzie i w tem oczekiwaniu pozostaję.

Z poważaniem

(—) SCHOLBERG

Zamiarem p. Ziegenhirtego jest sprzedanie tej strzelby drogą urządzenia na nią loterji, na co Polski Monopol Loteryjny udziela zezwolenia. Forma loteryjna ułatwi tu szybkie zrealizowanie ofiarowanego przedmiotu na gotówkę, przyśpieszając osiągnięcie większej sumy na F. O. N.

Nie jest to pierwszy wypadek skierowania przez cudzoziemców darów na nasz cel obrony narodowej, a jak czytamy, zawdzięczamy go imponującej naszej postawie, będącej wynikiem silnych i solidarnych uczuć patrjotycznych w naszym kraju.

Niemniej ofiarodawcy należą się słowa uznania i naszej wdzięczności.

NOWE DARY DLA NAUKI ŁOWIECTWA

Na skutek apelu pomieszczonego na łamach „Łowca Polskiego" o dary, celem uzupełnienia bardzo szczupłych pomocy naukowych do wykładów łowiectwa, odbywających się na Wydziale Leśnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, wzbogaciły się one o następujące cenne przyczynki:

Pan Prezes J. Skrzypek ofiarował wspaniałą kolekcję 20 sztuk bataljonów *(Machetes Pugnax L.)* oraz rzadki stosunkowo okaz kaczki *(Spatula clypeata L.)*.

Pan St. Wiktor ofiarował piękną kolekcję parostków sarnich w ilości 14 sztuk z różnych okolic, przyczem zawierającą rozwój poroży od najmłodszych stadjów.

Korzystając ze sposobności, składa *Zakład Anatomji Zwierząt i Histologji Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego* wyrazy serdecznego podziękowania za wzbogacenie zbiorów, które przyczynią się wydatnie do studjów młodych leśników z zakresu łowiectwa.

Z BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH W WARSZAWIE

(zet) W dniu 13 czerwca r .b. Bractwo Strzelców Kurkowych w Warszawie urządziło na swej strzelnicy w Szczęśliwicach konferencję prasową i pokaz urządzeń strzelnicy, z okazji 525-lecia istnienia Bractwa (dawniej Łuczników), z czem związane były świeżo odbyte uroczystości jubileuszowe w dniach 25—27 czerwca r. b., w których programie znalazły się również wielce urozmaicone zawody. W zawodach dość liczny udział wzięli Bracia z innych miast Polski.

Konferencję prasową zagaił P. płk. Tadeusz Sas-Jaworski, który w krótkich słowach skreślił zebranym historję Bractwa, jego znaczenie dawniejsze i dzisiejsze cele, ściśle związane z obroną Państwa.

Szczegółowe sprawozdanie z jubileuszowych zawodów Bractwa, krótki rys historyczny tej najstarszej instytucji obronnomiejskiej i wreszcie wytyczne programu działalności, ustalonego w zakresie ostatniego 20-lecia po jej wznowieniu, zamieścimy w następnym numerze „Łowca Polskiego".

WYNIKI ZBIÓRKI ZŁOMU MYŚLIWSKIEGO W POWIECIE STAROGARD.

W związku z zainicjowaną przez „Łowiec Polski" zbiórką złomu myśliwskiego na F.O.N. komunikuję, że podjęliśmy tę akcję na terenie tut. powiatu, urządzając składnicę powiatową u Łowczego Powiatowego w Starogardzie oraz 8 punktów zbiórkowych i 6 składnic rejonowych. W wyniku tej akcji zebraliśmy dotychczas 25 kg. 340 gr. złomu mosiężnego, który został zdeponowany za pokwitowaniem z dnia 15 maja 1939 r. w magazynie zbiórkowym 2 pułku Szwoleżerów Rokitniańskich w Starogardzie.

KAZIMIERZ CZERWIŃSKI

*

Prosimy Panów Łowczych Powiatowych z całego kraju o nadsyłanie podobnie zestawionych danych o wynikach zbiórki.

Chodziłoby również o to czy waga zebranego złomu odnosi się do samego metalu, czy też z nieoddzielonym odeń papierem, oraz w jakim okresie czasu zbiórki dokonano.

KÓŁKO ŁOWIECKIE W STALOWEJ WOLI

W maju r. b. z pośród pracowników Zakładów Południowych w Stalowej Woli zostało utworzone Kółko Łowieckie, składające się z 35 członków czynnych i wspierających.

W skład Zarządu zostali wybrani pp.: na Prezesa inż. Łukaszewicz Michał, na wiceprezesa inż. Chudzyński Bronisław, na członków zarządu inż. Radźnicki Kazimierz, inż. Sitarski Michał, na łowczego Kędzierski Jan, zastępca mgr. Jaworski Józef, na skarbnika Moll Franciszek, na sekretarza Pająk August.

Przeważnie wszyscy członkowie zgłosili gotowość zapisania się na członków Polskiego Związku Łowieckiego.

Uchwalono na ostatniem zebraniu zaprenumerować kilka egzemplarzy „Łowca Polskiego".

W najbliższym czasie Zarząd Kółka przystąpi do budowy strzelnicy rzutkowej.

JESZCZE O WYSTĘPOWANIU BRODAWEK SKÓRNYCH (VERRUCAE) U KURAPATWY.

W związku z notatką moją, zamieszczoną w Nr. 5 (921) „Łowca Polskiego" z dn. 1.III. 1939, na stronie 165, otrzymałem od J. W. P. Antoniego Rychłowskiego z Dobrzyńca, poczta Mińsk Mazowiecki, następującą listowną wiadomość: „...Śpieszę donieść, iż miałem sposobność dwukrotnie spotkać się z występowaniem brodawek skórnych u kuropatw, których wygląd zupełnie dokładnie zgadzał się z podanym w „Łowcu Polskim". W r. 1931 u siebie, w maj. Dobrzyniec, upolowałem jedną sztukę, która miała dziób zupełnie zniekształcony, wywinięty nazewnątrz i tak w górnej jak i dolnej swej części silnie pokryty brodawkami. Z tej przyczyny przyjmowanie pokarmu musiało ptakowi sprawiać duże trudności. Palce u nóg pokryte były również brodawkami, lecz nierównomiernie i stosunkowo w niewielkiej ilości.

Drugą sztukę upolowałem w r. 1936, na tych samych terenach, lecz brodawki występowały w mniejszej ilości i nie powodowały zniekształcenia dzioba, a miałem wrażenie, że były one dopiero w początku swego rozwoju. Tak w jednym jak i w drugim wypadku, brodawki występowały tylko na miejscach nieopierzonych i to u osobników młodych, w roku ubicia urodzonych. Obydwie sztuki były ubite mniej więcej w tej samej miejscowości, na ziemi lekkiej, piasczystej, miejscami sapowatej. W tutejszym obwodzie łowieckim ubija się rocznie ca 600 kuropatw, wszystkie są zdrowe i prawidłowo wyrośnięte, epidemji żadnej u nich nigdy nie zauważono".

Z powyższego widać, że występowanie brodawek skórnych u kuropatw młodych spotyka się częściej.

DR. EDWARD LUBICZ-NIEZABITOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu J. H. Kunertowi z Gdyni.

W broniach niemieckich odtylcowych, starszego wyrobu, spotykają się kalibry od 4 do 32, między temi dwiema liczbami spotyka się 48 rozmaitych kalibrów!

Bywają kalibry: 13, 15, 17, oraz ułamkowe np.: 9/1, 9/2. — Cyfra 13/1 będzie zatem oznaczała kaliber broni, jeżeli stoi ona oddzielnie, na lufie niegwintowanej.

BR.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ WALNEGO ZGROMADZENIA WOŁYŃSKIEGO ODDZIAŁU P. Z. Ł. W ŁUCKU Z DN. 18 LUTEGO 1939 R.

Obecnych na Zebraniu było 42 osoby: Przedstawicieli władz, Łowczych powiatowych, Podłowczych i delegatów.

Łowczy Wojewódzki Roman hr. Potocki otwiera Walne Zgromadzenie, witając przybyłego na Walne Zgromadzenie, Wojewodę Wołyńskiego p. A. Hauke-Nowaka, Przedstawicieli władz, oraz członków P. Z. Ł.

Na asesorów powołano: mjr. Wł. Bejera, K. Kościukiewicza, Józefa hr. Steckiego, St. Załęskiego, na sekretarzy: inż. W. Farenholca i rtm. W. Wróblewskiego.

Prezes Roman hr. Potocki wygłasza sprawozdanie za r. 1938 następującej treści:

Prace organizacyjne na terenie naszego działania szły przedewszystkiem w kierunku obsadzenia terenu należytą siecią Łowczych i Podłowczych. Sprawa ta została załatwiona i dziś Łow-

czowie powiatowi, jak też i należyta liczba Podłowczych, dają rękojmię, że sprawy łowieckie na Wołyniu, w myśl statutu P. Z. Ł., i otrzymanych instrukcyj, będą należycie wykonane.

W ciągu roku były przeprowadzane w każdym z powiatów inspekcje, które uskuteczniał nasz inspektor p. St. Madeyski, będąc obecnym na zjazdach powiatowych, względnie na posiedzeniach Rad Powiatowych Łowieckich.

Dążąc do obsadzenia Sądów Rozjemczych dla spraw łowieckich odpowiednimi ludźmi, W. R. Ł. odniosła się do wszystkich P. R. Ł., by odpowiednich kandydatów na przewodniczących Sądów zaproponowali Przewodniczącym Wydziałów Powiatowych do zamianowania.

W okresie sprawozdawczym odbyło się pięć posiedzeń Wojew. Rady Łowieckiej. Prezydjum urzędowało stale, odbywając raz na tydzień posiedzenia i rozpatrując sprawy bieżące.

Na Wołyniu okólnik Pana Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 27 sierpnia 1936 r. o współdziałaniu Władz Administracyjnych z Organami P. Z. Ł. jest stosowany. Urząd Wojewódzki Wołyński we wszystkich sprawach związanych z łowiectwem odnosił się do Wojew. Rady Łowieckiej i opinja wyrażona przez nas w tych sprawach była podstawą decyzji Urzędu Wojewódzkiego, czy to dotyczyło udzielania zezwoleń na odstrzał kóz-sarn lub innej zwierzyny łownej w okresie ochronnym, czy też w sprawach odwoływania się zainteresowanych od decyzji Starostw. Jeśli chodzi o współpracę z Władzami Administracyjnemi, to tak na szczeblu powiatowym, gdzie P. R. Ł. opinjują przy wydawaniu kart łowieckich, jak przedewszystkiem na szczeblu wojewódzkim były i są jaknajlepsze stosunki. Również W.R.Ł. ub. r. wiosną wystąpiła z pismem do p. Kuratora Okręgu Szkolnego z prośbą o wydanie do nauczycielstwa szkół powszechnych specjalnego okólnika, by nauczycielstwo w szkołach pouczało młodzież o konieczności ochrony ptactwa i zwierzyny łownej.

Wielki wysiłek W. Rady Łowieckiej w okresie sprawozdawczym szedł w kierunku propagandy Polskiego Związku Łowieckiego. Propagandę tę robiło się na wszystkich zjazdach powiatowych, gdzie wygłaszane były odpowiednie referaty. Woj. Rada Łowiecka wydaje co parę miesięcy komunikaty informacyjne, które są rozsyłane do wszystkich członków P. Z. Ł. na terenie Wołynia. Rady Powiatowe Łowieckie, a także i Podłowczowie otrzymują stale instrukcje i okólniki, dotyczące spraw ogólno organizacyjnych i sposobu prowadzenia propagandy. Również zostało wydane polecenie wszystkim Pow. Radom Łowieckim, by odniosły się one do myśliwych w powiecie i kółek myśliwskich z apelem zbierania wystrzelonych łusek na Fundusz Obrony Narodowej. Akcja ta dała rezultaty.

Wołyńska Rada Łowiecka w uznaniu zasług, jakie dla łowiectwa bądź to na polu hodowlanem, bądź organizacyjnem, bądź wreszcie w zwalczaniu kłusownictwa, cały szereg osób położył, wystąpiła do Kapituły Odznaczeń Łowieckich z wnioskiem o przyznanie pięciu medali złotych, dwunastu medali srebrnych i pięciu medali bronzowych Zasługi Łowieckiej.

Ponieważ do tej pory nie mieliśmy żadnego materjału statystycznego, dotyczącego rozsiedlenia zwierzyny łownej i jej rodzajów, jak również danych, dotyczących dokładnej ilości posiadaczy kart łowieckich, ilości i obszarów obwodów łowieckich zarejestrowanych i niezarejestrowanych, wreszcie statystyki przestępczości łowieckiej — zostały opracowane odpowiednie schematy dla kartotekowej statystyki i obecnie dane te są opracowywane przez Powiatowe Rady Łowieckie i pp. Podłowczych.

W okresie sprawozdawczym, w każdym z powiatów odbywały się Walne Zgromadzenia i Zjazdy powiatowe. Walne Zgromadzenie Wojewódzkie odbyło się dnia 30.VI 1938 r. Sprawozdanie ze Zjazdu zostało przesłane w swoim czasie i było ogłoszone w „Łowcu Polskim".

Co się tyczy ilości członków, to na dzień 31.XII 1938 r. według złożonych deklaracyj było ich 622, co w porównaniu z ilością 435 członków na dzień 1.I 1938 r., stanowi różnicę 187 przybyłych członków w roku sprawozdawczym. Opłaciło jednak składki członków 466; w tej liczbie — 424 zwyczajnych, 22 ulgowych i 20 nadzwyczajnych.

Jeśli chodzi o stosunki łowieckie, to daje się zauważyć coraz większe zrozumienie znaczenia Polskiego Związku Łowieckiego i wpływ jego organów w terenie, a co za tem idzie, poprawa stanu zwierzyny, jak też i zmniejszenie przestępczości łowieckiej.

Przechodząc do poszczególnych gatunków zwierzyny, to rok 1938 wykazał dalszą poprawę stanu kuropatw; zasługa to wysiłków właścicieli łowisk, a także odpowiednich warunków atmosferycznych. Gorzej przedstawia się stan ptactwa błotnego. Sucha wiosna dała możność dziatwie wiejskiej, głównie pastuchom, niszczenia gniazd i jaj.

Stan cietrzewi na Wołyniu jest fatalny, w ostatnich latach widzi się kompletny zanik tego ptaka, a przyczyną tego jest z jednej strony pastuch wiejski, a z drugiej — zbyt długi okres polowań, jaki istniał dotychczas. Dlatego też z wielką radością należy powitać rozporządzenie Pana Ministra Roln. i R. R., rozszerzające znacznie czas ochrony cietrzewi.

Stan dzików, pomimo wprost masowego ich wybijania w przeważnej części obwodów łowieckich, stanowiących własność Skarbu Państwa, w łowiskach, gdzie są zachowywane czasy ochronne, znacznie się poprawił, a nawet występują one tam, gdzie ich dawniej nie było.

Sarny na Wołyniu rozmnożyły się znacznie, tak że nawet zagrażają należytej gospodarce leśnej, gdyż niszczą sadzonki. W tym kierunku W.R.Ł., współdziałając z Urzędem Wojewódzkim, udzieliła dla całego szeregu łowisk, jak wspomniano wyżej, przychylnej opinji na odstrzał sarn-kóz, chcąc tem samem uregulować stosunek ich do rogaczy. Aby ułatwić zbycie odstrzelonych sarn-kóz, W.R.Ł., weszła w porozumienie z firmami eksportującemi zwierzynę łowną i adresy firm podała właścicielom łowisk.

Jeśli chodzi o najpopularniejszą zwierzynę łowną Wołynia, to jest o szaraka, to rok 1938 wykazał mniejszą ilość zabitych na polowaniach zajęcy; wyjątek stanowią okolice położone bliżej granicy, gdzie da się zauważyć nawet w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrost. Przyczyny zmniejszenia się zwierzostanu zajęcy szukać należy z jednej strony w tem, że jeszcze zbyt wiele niepowołanych osób posiada broń, z drugiej — i to jest główną przyczyną — że wiosna późna i mokra spowodowała motylicę u zajęcy.

Stan lisów tego roku był znacznie liczniejszy, niż w latach ubiegłych.

Stan głuszców na Wołyniu trzyma się na jednym poziomie, prócz łowisk obfitujących w dziki.

Jeśli mówię o zwierzynie łownej, to nie wolno mi pominąć faktu, że Wołyń posiada już w swych granicach i króla bagien — łosia. Ostoją ich jest północno- wschodni zakątek Wołynia — okolice Tomaszgrodu, gdzie nad rzeką Lwą znalazły sobie miejsce pobytu i skąd robią wypady na południe Wołynia, jak to miało miejsce w sierpniu ub. r. gdy taki „wywiadowca", przebywając dość długo w lasach maj. Postójce, zawędrował aż pod Ołykę.

Również bardzo ważną wiadomością jest to, że sprowadzone przed paru laty przez ks. Janusza Radziwiłła do lasów Ordynacji jelenie, wypuszczone ubiegłego roku z zagród, obecnie pięknie się rozmnażają na wolności i liczba ich wynosi około 55-ciu sztuk.

Skarbnik odczytuje sprawozdanie finansowe, wedle którego po stronie wpływów figuruje kwota zł. 5.269,13; zaś po stronie wydatków zł. 5.098,75; a więc nadwyżka wynosi zł. 170,38.

Przewodniczący Komisji Rewizyjnej p. dyr. A. Klimko zdaje

sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, która, po przejrzeniu szczegółowo ksiąg i dokumentów, stwierdziła zgodność zapisów, oraz oszczędną i rzeczową gospodarkę Prezydjum, i stawia wniosek o udzielenie absolutorjum W.W.R.Ł. za rok sprawozdawczy 1938. Wniosek ten przyjęto.

W dalszym ciągu Skarbnik odczytuje preliminarz budżetowy na r. 1939. Preliminarz po stronie wydatków wynosi zł. 7.530,— zaś po stronie wpływów kwotę tę osiąga dopiero z dotacją z P.Z.Ł.

Preliminarz został sporządzony bardzo drobiazgowo, przewidując w wydatkach najniezbędniejsze potrzeby, które jednak z wpływów z terenu t. j. ze składek członkowskich w całości nie mogą być pokryte. Nad preliminarzem wywiązała się dyskusja, poczem po stwierdzeniu celowości przewidzianych wydatków został on jednogłośnie przyjęty.

Z kolei p. M. Mniszek-Tchorznicki wygłasza referat o hodowli i odstrzale selekcyjnym sarn. Prelegent bardzo szczegółowo omawia przyczyny zaniku poroża i przedstawia środki dążące do podniesienia ich jakości, bądź to przez selekcyjne odstrzały, bądź też przez utrzymywanie roślinności takiej, któraby pozwalała zwierzynie na osadzenie kapitalnego poroża. Referat był szczegółowo ilustrowany pokazami różnych rodzajów poroża.

Zebrani rzęsistemi oklaskami wyrazili podziękowanie za pięknie i naukowo ujęty referat.

Przewodniczący podaje do wiadomości, że długoletni wiceprezes inż. W. Gordziałkowski, niestety, opuścił Wołyń, przeniesiony na inne stanowisko służbowe, na jego miejsce więc należy wybrać wiceprezesa. Na stanowisko to został powołany przez aklamację p. St. Madeyski, dotychczasowy sekretarz od początku istnienia ideowego stowarzyszenia na Wołyniu.

Na wakujące stanowiska członków Zarządu powołani zostali, pp.: inż. A. Baczyński, A. Klimko, M. Mniszek-Tchorznicki oraz Piotr hr. Sumiński.

Do Komisji Rewizyjnej powołani zostali pp.: W. Farenholc, A. Jackiewicz, oraz Wł. Leszczyński, na zastępców Komisji Rewizyjnej, dr. Wł. Lipiński i J. Marynowicz.

Jako delegaci na Walne Zgromadzenia P.Z.Ł. pp. St. Madeyski, M. Mniszek-Tchorznicki, W. Podhorski oraz Piotr hr. Sumiński.

W dalszym ciągu p. St. Madeyski podaje do wiadomości, że W.W.R.Ł. postanowiła urządzić w roku bieżącym Wystawę Łowiecką. Wystawa ta ma na celu wykazać, że Wołyń, bogaty w różnorodną zwierzynę, posiada wiele cennych okazów, które w wielu wypadkach znajdują się w ukryciu i poza niewielką ilością szczęśliwców nie są one znane szerszemu ogółowi myśliwych. Wystawa ta ma na celu, prócz wydobycia pięknych eksponatów z ukrycia, również i zadanie propagandowe. Odbędzie się ona w okresie tegorocznych X Jubileuszowych Targów Wołyńskich od 15 do 25 września.

Zarząd Targów Wołyńskich w zrozumieniu znaczenia Wystawy Łowieckiej, a tem samem pokazania zwiedzającym i na polu łowiectwa pewnego dorobku, wybitnie poszedł W.W.R.Ł. na rękę, za co mu należy już obecnie złożyć podziękowanie.

Wystawa obejmie wszelkie trofea łowieckie pochodzące z Wołynia, zdobyte w okresie od listopada 1918 r. po dzień dzisiejszy; trofea te będą premjowane, inne, pochodzące z Wołynia z przed okresu tego czasu, otrzymają żetony. Poza trofeami, które mamy zapewnione u naszych hodowców znanych łowisk i myśliwych, wystawa obejmie również i inne działy związane z łowiectwem, ale pochodzące z naszego terenu, a więc dzieła sztuki, (obrazy, rzeźby, fotografje), kolekcję ptaków spreparowanych, broń myśliwską (nową, zabytkową, kłusowniczą), wykresy, mapy i inne dane statystyczne, charakteryzujące rozwój łowiectwa na Wołyniu.

Ponieważ budżet W.W.R.Ł. nie przewiduje wydatków na wystawę, a wystawa ta jednak pociągnie za sobą koszty, które nie będą mogły być całkowicie pokryte z uzyskanych opłat wstępu, W.W.R.Ł. wystąpi do Rady Naczelnej P.Z.Ł. o specjalną subwencję.

W okresie Wystawy Łowieckiej odbędą się również zawody myśliwsko-strzeleckie i projektowane jest urządzenie na jedną z niedziel Zjazdu Myśliwych z całej Polski.

Walny Zjazd, wysłuchawszy sprawozdania tego, przez usta szeregu mówców gorąco popiera urządzenie wystawy.

Jako wniosek, Piotr hr. Sumiński zgłasza co następuje: Myśliwi Wołynia Zrzeszeni w P. Z. Ł. postanawiają ufundować w kościele parafjalnym w Łucku ołtarz św. Huberta, by czy to w dniu tego św. Patrona myśliwych, czy też w dniu zjazdów i imprez myśliwsko-strzeleckich, mogła się odbywać Msza św. przed ołtarzem św. Huberta.

P. St. Madeyski uzupełnia ten wniosek, dodając, że obecnie w Łucku przebudowuje się kościół garnizonowy, przeto tam należy ufundować taki ołtarz, oraz dodaje, że na cel ten mamy poważne źródło zdobycia funduszów, jeden bowiem ze znanych pisarzy myśliwskich ofiarował zbiór swych opowiadań i nowel które zostaną ujęte w książkę wydaną przez W.W.R.Ł., ze sprzedaży której dochód całkowity autor zastrzegł, że ma być przeołtarzem św. Huberta.

Zebrani jednogłośnie popierają tę inicjatywę, propagandą zaś zbiórki na ołtarz ma się zająć Prezydjum W.W.R.Ł.

Wobec niezgłoszenia dalszych wniosków, Przewodniczący, raz jeszcze dziękując p. Wojewodzie i wszystkim zebranym za przybycie, zamyka obrady.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa



WSZECHŚWIATOWE MUZEUM MYŚLIWSKIE
i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW i ZWIERZĄT,

oprawy rogów i kłów, **wyprawy** skór z włosiem i na zamsz, **robienia** dywanów i kołnierzy zwierzęcych

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5-37-84.



WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW

oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86 78.
Wprost kość. Ś-go Krzyża

Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI, w Warszawie
sp. z o. o.
Krak. Przedm. 7, tel. 647-47



Poleca strzelby:

G. Defourny-Sevrin à Liège
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „
Sztucery, Trójlufki
G Defourny-Sevrin à Liège
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie

JAKÓB MAREK

WARSZAWA, UL. BIELAŃSKA 22
POLECA OBUWIE MĘSKIE SPECJALNOŚĆ

BUTY

DO GOSPODARSTWA, DO KONNEJ JAZDY, MYŚLIWSKIE
ROK ZAŁOŻENIA 1869



Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39 36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

Najnowsze współczesne wydawnictwa łowieckie:

1. J. Bieniasza	— „LEŚNE WYGI“	zł. 5—
2. Włodzimierza Korsaka	— „LEŚNE OGNISKO“	zł. 3.—
3. P. Szumilasa	— „Z TROPU W TROP“	zł. 5.70
4. R. Wacka	— „DARZ BÓR“	zł. 1.50
oraz K. Hoszowskiego	— „DZIENNIK MYŚLIWSKI“	zł. 4.50

są do nabycia w Administracji „Łowca Polskiego“—Warszawa 1, Nowy Świat 35. Na porto zł. 1.—



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

Poleca dubeltówki zwykłe i standowe, z wysoką szyną, znanych rusznikarzy belgijskich jak: **Aug. Lebeau**
Defourny
Aug. Francotte
Henri Delrez

Są na składzie także parami. Sztucery Mannlicher Schonauer wszystkich kalibrów, z lunetami lub bez. Ceny zniżone!

SKŁAD GŁÓWNY w WARSZAWIE ul. KRÓLEWSKA 17

Oddziały:

POZNAŃ	LWÓW	WILNO	KATOWICE
Br. Pierackiego 12	Plac Marjacki 4	Wileńska 10	Młyńska 2

Cenniki bezpłatnie na żądanie.